

Azja południowo-wschodnia 2004

Poniżej znajduje się relacja z podróży Magdy i Przemka (plecakowicz@gmail.com) na trasie **Tajlandia-Kambodża-Wietnam-Laos-Tajlandia-Malezja-Singapur**. Relacja jest podzielona na dni. Jeśli ktoś jest zainteresowany samymi zdjęciami to zapraszam na <http://plecakowicz.pl/foto>.

17.08.2004 Warszawa-Istanbul-Bangkok

Po 8 godzinach jazdy pociągiem z Wałbrzycha, koło 6:00, Magda i ja (Przemek) docieramy do Warszawy. O 13:10 lecimy do Istambułu (2,5h), skąd o 23:05 wylatujemy do Bangkoku, gdzie mamy być o 12:10. Okazuje się, że Turkish Airlines są całkiem dużymi liniami lotniczymi, mają kilka razy więcej samolotów niż Lot. Lotnisko Ataturk w Istambule jest około 2 razy większe niż Okęcie, ale samolotów chyba więcej startuje na Okęciu. Na lotnisku Ataturk mamy ponad 6h oczekiwania. Zastanawiamy się, czy nie wyjść z lotniska w celu zwiedzania miasta, ale odstrasza nas konieczność kupienia tureckiej wizy za 10\$. Ostatecznie czekamy 6h na lotnisku, zwiedzając sklepy bezcłowe i czytając przewodniki Lonely Planet w lotniskowej księgarni.

18.08.2004 Bangkok

Przylatując do Tajlandii spodziewaliśmy się, że będzie gorąco, ale temperatura i wilgotność powietrza przerosły nasze oczekiwania. Bez klimatyzacji człowiek od razu się poci. Na lotnisku kupiliśmy wizę 15 dniową "on arrival" za 1000B (25\$). Pieniądze wymieniliśmy w automacie na lotnisku i jak się okazało później, nawet po dobrym kursie 1\$ = około 41B (baht). Wiemy, że można się wydostać z lotniska miejskim autobusem, ale ciężko znaleźć przystanek, dlatego kupujemy za 100B bilet na Airport Bus do Thanon Kao San. Później się okazuje, że w drugą stronę, w biurach na Kao San, bilet kosztuje 60B, a to i tak jest za drogo. Gdy przybywamy na ulicę Kao San jest już około 15:00. Najpierw samolot był godzinę opóźniony a potem trochę czasu zeszło na lotnisku i na załatwianie wizy. Dojazd z lotniska też trwał około godziny, bo były duże korki a i tak miał to być najszybszy środek transportu. Szukamy taniego hotelu i znajdujemy ładny pokój z wentylatorem (z klimatyzacją są droższe) za 280B (7\$). Przed wejściem do hotelu leży kilkanaście par sandałów/kłapek/butów, które muszą zdejmować goście. Później okazuje się, że buty ściąga się także przed wszystkimi świątyniami oraz większością sklepów. Wyjątkiem są restauracje oraz duża sieć mini-marketów 7-eleven (w rodzaju Żabki). Około godziny 17:00, po odświeżeniu się w hotelu, wychodzimy na miasto. Wszystkie świątynie są czynne do 17:30, więc na dużo dzisiaj nie liczymy. Docieramy do Wat Pho, której boczne wejście okazuje się otwarte, więc wchodzimy do środka (za darmo). Turystów już tu nie ma, powoli się ściemnia, zaczynają podświetlać świątynie i obiekty dookoła. Robimy zdjęcia kolorowych czedi (stożek, podobny do grotu strzały, postawiony na cześć osoby/zdarzenia), które powinny być rewelacyjne. Nagle spada spory deszcz, który jest bardzo orzeźwiający, zwłaszcza przy temperaturze rzędu 35 stopni. Deszcz pada bardzo długo, w końcu przyjechaliśmy w porze deszczowej. Następnie zwiedzamy Thanon Kao San, gdzie zatrzymuje się większość turystów przybywających do Bangkoku. Ta ulica to wielki targ, na całej jej długości znajdują się stragany z odzieżą, elektroniką i innymi rzeczami. Można też skorzystać z tajskiego masażu. Pod koniec dnia, jemy obiadokolację w restauracji dla turystów za 200B (5\$), co okazuje się droższą przy cenach 25-35B/os. w miejscach, w których jedzą tubylcy.

19.08.2004 Bangkok

Wstaliśmy przed 12.00 (w Polsce 7.00), bo musieliśmy odespać wcześniejsze noce. W dzień, Bangkok wydaje się hałaśliwym, zatłoczonym i nieprzyjemnym miastem. Od razu poszliśmy

zwiedzać Pałac Królewski, ale Świątynia Szmaragdowego Buddy była zamknięta, więc postanowiliśmy przełożyć zwiedzanie na następny dzień. Z pobliskiego przystanku pojechaliśmy autobusem (3.5B/os.) zobaczyć Wat Trimitr z figurą złotego Buddy w Chinatown. Następnie wróciliśmy w okolice Pałacu Królewskiego, do Wat Pho (wstęp 20B/os.), gdzie znajduje się posąg leżącego Buddy, który ma 46m długości. Jest to jedna z najciekawszych rzeczy podczas całej wyprawy. Następnie udajemy się do Wat Arun (jej zdjęcie jest okładką przewodnika Pascala po Tajlandii), do której przepływamy łodzią za 2B/os. Postanawiamy poczekać do zmroku, żeby zrobić "nocne" zdjęcia Wat Arun. W wolnym czasie idziemy na sąsiednie ulice, gdzie nie ma już turystów i trafiamy do lokalnej jadłodajni. Trudno nam coś wybrać, bo nie ma menu po angielsku, ale pokazujemy palcami, co chcemy zjeść. Płacimy 60B za obiad dla dwóch osób, który został przygotowany na naszych oczach i na nasze specjalne zamówienie :) W okolicach Kao San, na ulicznym straganie, zamawiamy sok z pomarańczy (20B) i shake'a owocowego (15B, świeży owoc zmiksowany z lodem albo mlekiem). Po Bangkoku najlepiej poruszać się tu tuk-tukiem (motor z kierownicą i siedzeniem dla dwóch osób), który kosztuje tylko 10B (1 baht=9 groszy) za przejazd w granicach centrum.

20.08.2004 Bangkok-Ayuttaya

Wstajemy z samego rana, żeby zdążyć przed otwarciem Pałacu Królewskiego o 8:30. Pałac Królewski (wstęp 200B), gdzie znajduje się wiele świątyń, robi na nas duże wrażenie, ale nie było warto czekać, aby zobaczyć Szmaragdowego Buddę. Zwiedzanie całości zajmuje nam ponad 2 godziny. Przed południem jedziemy autobusem miejskim na Terminal Północny. Dojeżdża się tam dwoma autobusami numer 7 i 33, podróż zajmuje około 1h. Tutaj przewodnik Pascala (tłumaczenie Lonely Planet) się nie popisał, bo musieliśmy się sami tego dowiedzieć. Stamtąd mamy od razu autobus (45B/os.) do Ayuttaya, gdzie jesteśmy po 2h. Szybko znajdujemy hotel w okolicach dworca (200B), a raczej ulicy, na której stoją autobusy. W mieście jest kilkadziesiąt świątyń buddyjskich (wat), ale większość to ruiny, albo nic ciekawego, biorąc pod uwagę fakt, że się zwiedza kilkunastą podobną świątynię. Postanawiamy na początku pójść do Wat Na Phra Mane, bo jest czynny tylko do 16:30. Polecamy też Wiharm Phra Mongkol Bopit i Wat Phra Si Sanphet, które wyróżniają się na tle innych. Wieczorem postanowiliśmy udać się do kafejki internetowej, która była podobna do naszych z wyjątkiem tajskiego alfabetu (krzaki) i butów przed wejściem. Powoli przyzwyczajamy się do tutejszych zwyczajów ściągania obuwia. Zwyczaj ten jest też stosowany w krajach arabskich, przed wejściem do meczetu. Sposób modlenia się, siedząc na podłodze, jest nawet podobny, tylko nie ma tu tych częstych pokłonów. Bardzo podobają nam się podziękowania (dziękuje=sabadi) za zakup/zapłatę w formie ukłonu głowy wraz z dłońmi złożonymi razem, jak u nas do modlitwy. Wydaje się, że jest to podziękowanie wraz z wyrazem szacunku dla nas, albo nawet błogosławienia nas w imieniu Buddy.

21.08.2004 Ayuttaya-Siem Reap

Wczoraj wieczorem zobaczyliśmy widokówkę z Wat Phu Khao Thong, która bardzo nam się spodobała. Świątynia nie jest zbyt dobrze opisana w przewodniku, więc pewnie byśmy ją ominęli, zwłaszcza, że jest położona dosyć daleko od centrum. Postanowiliśmy wstać przed 8.00, żeby oglądnąć świątynię i przed południem wyjechać do Kambodży. Wiemy, że po targach objazd tuk-tukiem po ważniejszych świątyniach kosztuje 200B a my chcemy zobaczyć jeszcze tylko Wat Phu Khao Thong. Kierowcy chcą 150B, po targach 100B. Najlepsza oferta, jaką dostajemy, to 80B w dwie strony, co jest odpowiednikiem 8h (8*10B) jeżdżenia po Bangkoku. Postanawiamy iść te 4-5 km pieszo. Świątynia była bardzo daleko, ale opłacało się iść, ponieważ jest jak piramida (albo Wat Arun) i jest cała biała, w odróżnieniu od innych świątyń. Gdy szliśmy było ją widać już kilometr wcześniej. Postanowiliśmy, że możemy dać 50B za powrót, bo nam się spieszy, ale nikt się nie chciał zgodzić. Wolą nic nie zarobić, niż obniżyć ceny - dziwni ludzie. Jednak znajduje się dziewczyna, która zabiera nas za 50B skuterem (w trzy osoby na jednym) do centrum. O 11:00

wyjeżdżamy autobusem (45B/os., 1.5h) do Bangkoku. Przyjeżdżamy na Terminal Północny, z którego odjeżdża autobus do Aranya Prathet (170B/os., 4.5h, okienko 30 w środku dworca). Nie było tego w przewodniku, ale wiedzieliśmy to dzięki www.travelbit.pl. Z dworca autobusowego w Aranya Prathet musieliśmy wziąć tuk-tuka do granicy, bo było 8km. Mafia tuk-tukowa miała ustalone ceny na 60B i nie chcieli zejść niżej, dopiero gdy zaczęliśmy odchodzić wytargowaliśmy 50B. Granica okazała się okropna - brud, błoto, jedno wielkie targowisko. Wszędzie chcieli nam sprzedać wizę kambodżańską, ale wyrobiliśmy ją wcześniej w Bangkoku (1000B/os. na Kao San, w ambasadzie 20\$). Po stronie kambodżańskiej zaczyna się inny świat, asfalt się kończy i zostaje droga szutrowa. Teraz trzeba znaleźć transport do Siem Reap. Dowiadujemy się, że autobusy stoją kilometr dalej i trzeba zapłacić 20B, żeby nas tam dowiózł tuk-tuk. Wolimy zapłacić i jak najszybciej oddalić się z granicy, bo atmosfera jest tam nieprzyjemna i boimy się o własne bezpieczeństwo. Okazuje się, że nie jeżdżą tu autobusy tylko pick-up'y (5 miejsc w szoferce, gdzie wpychają 7 osób) i paka, gdzie siedzi się pod gołym niebem z towarami. Spotykamy trzech Czechów, którzy jada tam gdzie my. Chcemy jechać z nimi, bo bezpieczniej. Naganiacze chcą od nas 250B za dojazd do Siem Reap. Wiemy, że to drogo, bo 6\$ (240B) kosztuje podróż busikiem z Kao San w Bangkoku do Siem Reap. Głównym problemem jest to, że musimy rozmawiać z naganiaczami, którzy chodzą za nami od granicy, bo kierowca nie mówi po angielsku. Jedyne, co udaje się wytargować to, że jedziemy w szoferce. Później okazuje się, że miejscowi płacą 150B. Podróż trwała od 17:30 do 23:00, bo w Sisophon okazało się, że musimy przesiąść się do innego pick-upa, w którym ponad 1h czekaliśmy na wyjazd. Dodatkowo zostaliśmy dowiezieni pod hotelu, w którym kierowca chciał, żebyśmy zostali, bo pewnie miał swoją prowizję. Chcieli 6-7\$ za pokój, ale stargowaliśmy się (razem z Czechami) do 5\$ za pokój i zostaliśmy, bo oczywiście byliśmy tak zmęczeni podróżą, że nie chciało nam się szukać innego hotelu.

22.08.2004 Siem Reap-Angkor Wat-Siem Reap

W Tajlandii poziom życia jest zbliżony do Polski. W Kambodży widzi się biedę, ludzie żebrzą na ulicy. Oprócz kambodżańskiej waluty - rieli, można tu płacić także dolarami. 1\$ ma wartość równą 4000r (rieli). Gdy coś kosztuje 2500r, można dać jednego dolara i otrzymać 1500r reszty. Najciekawsze jest to, że widzieliśmy jak miejscowi płacili dolarami. Za wszystko tu ludzie chcą, żeby płacić w dolarach. Ceny za hotel były w dolarach. Rano kupiliśmy bilety na łódź do Phnom Penh, bo ma płynąć 6 godzin, czyli krócej niż 14 godzin jazdy. Jakoś drogę już przetestowaliśmy i chyba wszyscy wolą zapłacić 20-25\$ (nas kosztowało 22\$, zależy za ile dni chce się płynąć) za łódkę, niż jechać samochodem. Bardzo drogo, ale nie ma wyboru i oni o tym wiedzą. Zresztą musieliśmy też zapłacić 10\$ za wynajęcie tuk-tuka na całodniowe zwiedzanie Angkor Wat, ponieważ świątynie są w odległości kilkudziesięciu kilometrów. Wstęp do Angkor Wat też był w dolarach, a dokładnie 20\$/os. Angkor Wat jest to kompleks buddyjskich świątyń, które zostały setki lat temu porzucone przez ich budowniczych a odnalezione dopiero w XIX wieku. Świątynie są położone w dżungli i są zupełnie inne o tych w Ayuttaya, które powstawały mniej więcej w tym samym czasie. Rok temu zwiedzaliśmy Meksyk, Belize i Gwatemalę. Położenie świątyń w dżungli oraz ich budowa z kamienia nasuwa skojarzenie z Tikal w Gwatemali. Porównując styl życia ludzi, środki transportu, Tajlandia wydaje się bardzo podobna do Meksyku. Za to Kambodża jest dla Tajlandii jak Gwatemala, biedny sąsiad Meksyku. Po wjeździe do Gwatemali też się skończył asfalt i zaczęła droga szutrowa. Od rana do wieczora zwiedzamy Angkor Wat. Chcemy zobaczyć wszystkie główne świątynie w jeden dzień, podczas gdy większość turystów przeznaczają na ten cel dwa lub trzy dni. Udaje nam się zrealizować plan zwiedzania "little circle" z kilkoma dodatkowymi świątyniami (warta polecenia jest Ta Prohm, która jest cała porośnięta drzewami, których korzenie oplatają świątynie - stąd jest też okładka Lonely Planet Cambodia). Gdy się zaczęło ściemniać wróciliśmy do głównej świątyni, czyli Angkor War, która jest bardzo fotogeniczna, zwłaszcza przy wschodzie słońca. Na początku zwiedzania wszystkie świątynie wydają się inne, ale po zobaczeniu kilku, widać podobieństwa do poprzednich. Zwiedzanie wszystkiego w jeden dzień jest szybkie, ale

gdybyśmy mieli rozłożyć to na dwa dni byłoby nudne (i droższe o tuk-tuka za 10\$ i dwa bilety wstępu po 20\$).

23.08.2004 Siem Reap-Phnom Penh

Jak już pisałem wcześniej, kupiliśmy bilet na łódź do Phnom Penh, tylko nie napisałem, że o 5:40 miał po nas przyjechać busik, który zabierał ludzi do portu, z którego o 7:00 odpływała łódź. Musieliśmy wstać o 5:00, ale to chyba lepsze niż spędzenie całego dnia w pick-up'ie na drodze szutrowej. Busik zabrał nas o wschodzie słońca spod hotelu, okazało się, że w mieście jest powódź (woda na ulicach), ale na szczęście samochód mógł przejechać. Dla kierowcy wydawało się to normalne, więc chyba często się do zdarza. Po 6:30 byliśmy już w porcie. Przy porcie znajdowała się pływająca wioska, czyli łodzie przerobione na domy i sklepy. Pomysł bardzo dobry, patrząc na to, że powódzie są tu częste a większość domów zbudowana jest na palach. Rejs statkiem, oprócz pływającej wioski, był nudny, bo widoki nieciekawe. Najpierw płynie się jeziorem Tonle Sap, które przed Phnom Penh łączy się z Mekongiem. Najbardziej zastanawiające było to, że przez kilkaset kilometrów nie było żadnego mostu. Dopiero blisko portu w Phnom Penh jest most, zbudowany za japońskie pieniądze. Dopłynęliśmy koło 13:00, czyli z godzinnym opóźnieniem. Na przystani czekało kilkudziesięciu naganiaczy. Każdy z nich próbował nas zaciągnąć do swojego hotelu. Byli tak bardzo nachalni, że prawie bili się między sobą i jedyne co pozostało to oddalić się stamtąd lub zdecydować na jeden z hoteli. Wybraliśmy jeden z hoteli, który był w dobrym miejscu i był opisany w przewodniku LP (Lonely Planet), bo gośćci zaoferował, że zawiezie nas tam za darmo, bez zobowiązań. Mieli z bratem dwa motory, którymi zawieźli nas do hotelu. W hotelu chcieli nam wcisnąć droższy pokój, ale zapytaliśmy o najtańszy i taki wybraliśmy. Jest już przed 14:00 a my chcemy jeszcze zobaczyć Pałac Królewski ze Srebrną Pagodą (to samo co wat, ale nie praktykuje się tam obrzędów religijnych, taki wat-muzeum), Wat Phnom, Tuol Sleng Museum (dawne więzienie S-21, gdzie w latach 1975-78 zabito 17000 ludzi) oraz Pola Śmierci (15km od centrum, gdzie pochowano większość osób zabitych w więzieniu S-21). Okazuje się, że w Phnom Penh nie ma tuk-tuków, dlatego wynajmujemy motor z kierowcą za 4\$, po ostrych targach. Oczywiście inni wciskali, że musimy wynająć dwa motory, ale ten zgodził się nas wozić na jednym. Udało nam się wszystko zwiedzić, choć deszcz próbował pokrzyżować nasze plany. Świątynie przy Pałacu Królewskim są całkiem ciekawe, w trochę innym stylu niż te w Bangkoku, nie ma też już takiego przepychu. W Tuol Sleng Museum można zobaczyć cele, w których przetrzymywani byli więźniowie, zdjęcia więźniów po przyjeździe do więzienia i po torturach, narzędzia tortur oraz wyznania strażników, którzy obawiali się zostania więźniami. Pola Śmierci to dziury po masowych grobach, z których wykopano ponad 8000 ciał i umieszczono je (czaszki) w pobliskim mauzoleum. Stolica wydaje się bogatsza niż prowincja, wszędzie jest asfalt a przy rzece jest miła promenada, którą można spacerować.

24.08.2004 Phnom Penh-Sihanoukville

Wstaliśmy o 6:30, bo o 7:15 mieliśmy autobus do Sihanoukville (3.5\$), czyli najpopularniejszej morskiej miejscowości w Kambodży. Około 11:30 dojeżdżamy na miejsce, ponieważ droga była prosta i asfaltowa (za amerykańskie pieniądze). Od razu szukamy hotelu w pobliżu dworca (4\$), bo następnego dnia rano zamierzamy stąd wyjechać. Następnie jedziemy z kierowcą motorem (w trójkę, za 2500r) na plażę. Woda jest taka sobie, za to piasek ładny - białutki, tylko palm brakuje. Plaża prawie pusta, bo na odcinku kilku kilometrów dostrzegamy tylko kilkunastu turystów. Musimy uważać z opalaniem, ponieważ słońce jest mocne nawet przez chmury, a widać to dopiero wieczorem. Największym minusem plaży są śmieci na piasku i w wodzie i nikt tego nie sprząta, co jest normalne dla tubylców a dla nas nie. Zresztą wszędzie widać, że troska o środowisko naturalne nie jest priorytetem w całej Azji pd-wsch. Wieczorem jemy obiadokolację na targu, płacimy 3000r za 2 os. (mniej niż 3 zł). Hotele i jedzenie w restauracjach dla miejscowych w Kambodży okazuje się tańsze niż w Tajlandii, ale wstępy są dużo droższe. Wydaje się, że państwo szuka dodatkowych

pieniędzy, które może uzyskać od turystów. Ogólnie wyszło, że Kambodża jest dla nas najdroższym krajem, patrząc na stosunek wydanych pieniędzy do ilości spędzonych dni.

25.08.2004 Sihanoukville-Ho Chi Minh City

Wstajemy znowu wcześniej, bo chcemy jechać autobusem do Phnom Penh o 7:10. Zamierzamy sami dojechać do Wietnamu. Szybciej i taniej byłoby bezpośrednim busem z Phnom Penh, ale on odjeżdża codziennie rano. Dojeżdżamy do Phnom Penh o 11:20 a o 12:00 wyjeżdżamy autobusem do Neak Leong. Stamtąd ma być prom na drugi brzeg Mekongu i autobus do granicy w Bovet (Moc Bai w Wietnamie). Gdy dojechaliśmy do Neak Leong (droga asfaltowa) i czekaliśmy na prom obległo nas ze dwadzieścia osób, które chciało nam coś sprzedać a raczej wcisnąć na siłę. Małe dzieci biją nas mocno po rękach, żeby zwrócić na nie uwagę i dać im jakieś pieniądze. Wiemy, że najgorzej będzie jak damy komuś pieniądze. Dopiero po 15 min ignorowania, sytuacja ulega normalizacji a sprzedawcy zaczynają zaczepiać miejscowych. Następnie przepływamy Mekong i szukamy transportu do Bovet, ale nikt nie mówi po angielsku a jedyne co nam proponują to taksówka za 20\$. Szukamy kogoś mówiącego po angielsku i jedyna osoba, którą znajdujemy to mała dziewczynka, która każe nam czekać a po kilkunastu minutach pokazuje busa za 5\$/2 os. Wsiadamy do busa z wielką ulgą. Okazuje się, że wcale nie musieliśmy przepływać sami rzeki promem. Wszystko przez bardzo źle opisany przejazd do granicy w przewodniku LP. Koło 17:00, czyli 1h przed zamknięciem, przekraczamy granicę. Na granicy musimy zapłacić 2000 dongów (1\$ = 15700 dongów) za świadectwo zdrowia. Pieniądze mamy, bo wymieniliśmy drobne kipy, które nam zostały z Kambodży. Teraz kolejny problem, brak transportu do Ho Chi Minh City (w skrócie HCMC, przed 1975 miasto nazywało się Saigon). W przewodniku jest napisane, że należy dojechać do skrzyżowania i złapać autobus jadący z północy, ale miejscowi mówią, że jest już za późno. Taksówkarze proponują 20\$ (około 70km). Po pół godziny szukania innego transportu schodzą nawet do 10\$, ale my i tak jedziemy prywatnym samochodem za 8\$/2 os. W Wietnamie od razu widać wzrost stopy życiowej, do HCMC są jest droga dwupasmowa. Do granic HCMC dojeżdżamy koło 19:30, ale w centrum jesteśmy po 20:00. Okazuje się, że w tym mieście mieszka około 10 mln (oficjalnie 5 mln) ludzi i trudniej się po nim poruszać niż po Bangkoku. Hotel znajdujemy przez naganiacza, któremu mówimy, że stać nas na 5\$ a on znajduje nam pokój w tej cenie.

26.08.2004 Ho Chi Minh City

Wczoraj wieczorem kupiliśmy wycieczkę do tuneli Cu Chi (3\$/os.). Była to nasza pierwsza wycieczka zorganizowana, ale w przewodniku LP było napisane, że ciężko jest się tam dostać samemu, a my mieliśmy dość przygód wczoraj. Była też łączona wycieczka Cu Chi i Cao Dai Temple, ale świątynia nie wyglądała zbyt ciekawie na zdjęciach w biurze turystycznym (szkoda, bo teraz wiemy, że świątynia jest jedną z najlepszych Wietnamie i trzeba było tam jechać). Wstęp do Cu Chi kosztował 65000d (dongów), więcej niż wycieczka, ale było warto. Zobaczyliśmy tam amerykańskie bomby, film o partyzantach (guerillas) z Viet Congu, którzy używali tuneli Cu Chi do walki z Amerykanami. Pokazano nam także schemat tuneli oraz mieliśmy możliwość zwiedzenia samych tuneli. Na początku były to kilkumetrowe tunele, ale ostatni, najdłuższy miał 120m. Miał 1.20m wysokości i 0.8m szerokości, więc czasami trzeba było się przeciskać na kolanach. W środku latały nietoperze i ciężko było oddychać. Wyszliśmy z tuneli cali brudni i spoceni. Najciekawsze jest to, że te tunele są specjalnie poszerzane dla turystów. W nagrodę dostaliśmy do spróbowania tapiokę (podobne do ziemniaków) i ryż w sprasowanych kostkach, czyli pożywienie guerillas. Pod koniec oglądaliśmy pułapki, niezbyt humanitarne, w które wpadali Amerykanie. Mieliśmy też możliwość postrzelania z prawdziwej broni np. kałasznikowa, ale kosztuje to minimum 5\$ (1\$/strzał). Do HCMC wróciliśmy koło 14:00 i od razu udaliśmy się do Muzeum Wojny. Znajdują się tam amerykańskie czołgi, śmigłowce i samoloty przechwycone podczas wojny. Dużo było zdjęć o zatruciu środowiska (żeby zabić guerillas), torturowaniu i

bombardowaniu ludności cywilnej przez Amerykanów oraz z protestów antywojennych z całego świata. Oczywiście było w tym dużo propagandy, w której to źli Amerykanie walczyli z niewinnymi Wietnamczykami. A przecież była to wojna między Wietnamem Pd a Wietnamem Pn, do której Amerykanie się przyłączyli i z której się wycofali 2 lata przed końcem (zginęło pięć razy więcej południowych Wietnamczyków, niż Amerykanów, o północnych nie wspominając). Była to jednocześnie wojna między kapitalizmem a komunizmem, ponieważ północ była wspierana przez Chiny i ZSRR. W 1975 roku południe zostało pokonane przez północ i od tego czasu Wietnam jest komunistyczny. 5 mln Wietnamczyków uciekło z kraju przed komunistami a ci co zostali i pomagali Amerykanom do tej pory nie mają pełnych praw obywatelskich. Nie mogą posiadać majątku i nie mogą oficjalnie pracować, dlatego dawna inteligencja (doktorzy, profesorowie) wożą teraz turystów riksami. Po Muzeum Wojny zwiedzaliśmy Reunification Palace, Pałac Prezydencki, gdzie wszystko zostało jak w roku 1975, kiedy wojska północnego Wietnamu dojechały do Saigona. Następnie pojechaliśmy motorem do Jade Emperor Pagoda i Mariamman Hindu Temple. Pierwsza świątynia była chińska, druga hinduska, zupełnie inne od tego co widzieliśmy wcześniej. Wieczorem poszliśmy na pizzę (56000d) a później jeszcze shake (4000d, bardzo tanio - około 1 zł).

27.08.2004 Ho Chi Minh City-Mui Ne

Wczoraj w biurze TM Brothers Cafe kupiliśmy łączone bilety autobusowe (open ticket) na trasie HCMC-Mui Ne-Dalat-Nha Trang-Hoi An-Hue-Hanoi za 24\$/os. z wycieczką łodzią w Nha Trang gratis (w katalogu 6\$). Bilety te wyznacza nam prawie całą podróż po Wietnamie (z każdego miejsca jest jeden/dwa autobusy dziennie), bo z Hanoi chcemy tylko jechać do Halong Bay. Z jednej strony dobrze, bo łatwo i tanio się podróżuje, z drugiej źle, bo jesteśmy związani z jedną firmą. Mieliśmy wyjechać autobusem do Mui Ne o 7:30, ale okazało się, że autobus jeździ po całym mieście, zabierając ludzi spod hoteli i innych biur turystycznych a później znowu wraca pod główne biuro. Pojeździliśmy sobie godzinkę po HCMC i o 8:30 wyruszyliśmy w stronę Mui Ne. Kierowca jedzie jak wariat, wyprzedza na trzeciego a gdy ma pustą drogę to się wlecze. Przyjeżdżamy opóźnieni o 1h, czyli około 13:00. Autobus podjeżdża pod hotel, który ma układ z TM Brothers. Nie musimy tu zostawać, ale cena jest przystępna jak na Mui Ne (6\$, taniej niż według LP Vietnam), więc zostajemy. Największą tutejszą atrakcją są wydmy, oddalone o 15 km od naszego hotelu, więc szukamy transportu. Pertraktacje z motocyklistami przerywa deszcz, który przestaje padać po około 45 min. Motorzyści mówią, że musimy wynająć dwa motory, bo tu policja łapie i nie można jechać na jednym w trójkę. Stargowaliśmy z 3\$/os. do 2\$/os., ale więcej nie chcą spuścić. Wydaje nam się to drogo, porównując np. z HCMC, więc idziemy na spacer plażą w kierunku wydm. Po przejściu 6km wychodzimy na pobliską ulicę, gdzie dostajemy cenę 3\$/dwa motory i powrót do naszego hotelu. Wydmy są super, już wiemy, że będą jedną z najlepszych atrakcji jakie widzieliśmy w Wietnamie. Wydmy wyglądają jak pustynia, tylko że z jednej strony w tle jest morze. Dzieci wypożyczają turystom plastikowe maty, na których można zjeżdżać z wydm jak na sankach. My odchodzimy daleko od turystów (gdzie nie ma śladów stóp na piasku :) i robimy dużo przepięknych zdjęć. Warto było poświęcić dodatkowy dzień, żeby zobaczyć ten widok a Mui Ne nie leży na najpopularniejszym szlaku turystycznym i przez wielu jest omijane. Plaża w Mui Ne podoba nam się lepiej niż ta w Sihanoukville i co się później okazało, jest jedną z najlepszych w Wietnamie.

28.08.2004 Mui Ne-Dalat

Rano znowu wyruszamy w drogę, bo mamy 14 dniową wizę a czas nagli. Jedziemy autobusem do Dalat, najpopularniejszej górskiej miejscowości w Wietnamie. Droga jest kręta jak to w górach a temperatura spada mniej więcej o 10 stopni, co jest dla nas miłą odmianą po codziennych upałach. Znowu autobus podwozi nas pod hotel, ale tym razem jest dla nas za drogo. Sprawdzamy hotele na tej samej ulicy i znajdujemy jeden za 70000d, a w przewodniku LP pisali, że 7\$ to minimum.

Zostawiamy plecaki w hotelu i jedziemy dwoma motorami (wytargowaliśmy 20000d/os.) do wodospadu Datanla. Wodospad jest ładny, całkiem spory. Dookoła znajduje się ogród kwiatowy, wszystko zadbane, aż się zdziwiliśmy. Wracamy do miasta i zwiedzamy Flower Garden (same kwiatki i chyba już było po sezonie). Następnie udajemy się do Crazy House. Są to obecnie dwa domy, zbudowane w wymyślne, pokręcone kształty. Styl można porównać z Gaudi'm, jak ktoś był w Barcelonie to wie o co chodzi. Domki nam się podobały i dla samych domków warto było przyjechać do Dalat, które tak samo jak Mui Ne leży poza główną trasą turystyczną.

29.08.2004 Dalat-Nha Trang

Kolejny rano oznacza kolejny wyjazd. Teraz musimy zjechać ponad 1000m w dół, więc podróż zapowiada się ciekawie :) Kierowca jedzie dość szybko, ale pewnie jeździ tędy codziennie. Przed większymi zakrętami trąbi, żeby ewentualne samochody z przeciwka wiedziały, że jedzie. Pośpiech był niekonieczny, bo na przystanku przesiadkowym czekamy 50 min na autobus do Nha Trang. Wczoraj też tu byliśmy, ale od razu pojechaliśmy dalej. Jest to przystanek, w którym spotykają się autobusy z Mui Ne (z HCMC jedzie przez Mui Ne), Dalat i Nha Trang. Wszystkie autobusy jeżdżą codziennie, co dla nas jest niezbędne, ale widać, że Wietnamczycy próbują zaoszczędzić pieniądze i maksymalnie wykorzystać autobusy. Do Nha Trang dojeżdżamy o 13:00, czyli tym razem zgodnie z planem. Zostajemy w hotelu, pod który nas podwożą, bo znajduje się pokój w dobrej cenie (4\$). W przewodniku LP jest mam miasta i wydaje się całkiem małe, więc postanawiamy zwiedzać je na pieszo. Najpierw idziemy do Long Son Pagoda (z ogromnym, siedzącym białym Buddą) a później do Nagar Cham Towers. W Nha Trang nie ma zbyt dużo ciekawych rzeczy a plaża z promenadą nie jest godna polecenia. Odległości wcale nie były takie małe jak na mapie i zwiedzanie miasta zajęło nam czas do zmroku.

30.08.2004 Nha Trang (rejs)-Hoi An

Tym razem nie jedziemy do innego miasta, ale wyruszamy na rozrywkowy rejs po Morzu Południowochińskim. Odwiedzamy wyspy Hon Mun (snorkeling - pływanie w masce z rurką), Hon Tam, Hon Mat. W cenie rejsu jest również obiad, koncert karaoke na statku, pływający barek z winem i deser z owoców. Ogólnie cały rejs to nic specjalnego, ale czas minął szybko i można było odpocząć od problemów dnia codziennego zwykłego turysty :) Najlepszą atrakcją okazało się pływanie w koszach (okrągłych łodziach), za które trzeba było zapłacić dodatkowo, ale tylko 5000d/os. Wieczorem pojechaliśmy do Hoi An. Podróż trwała całą noc i nie należała do przyjemnych, bo dostaliśmy mały, krótkodystansowy autokar. Siedzenia w nim się nie rozkładały, klimatyzacja nie wyrabiała nawet w nocy a połowa plecaków nie zmieściła się do schowka i stały między siedzeniami, w przejściu. Zauważyliśmy, że czym dalej na północ tym drogi są gorsze.

31.08.2004 Hoi An-Hue

Do Hoi An dojechaliśmy około 6:00. Po tym jak przeczytaliśmy w przewodniku co jest tu do zwiedzenia, postanowiliśmy zostać tu tylko kilka godzin, do odjazdu następnego autobusu do Hue. To był dobry pomysł, bo miasto nie było wcale takie super, jak to wynikało z przeczytanych przez nas relacji. Spodziewaliśmy się klimatu, w rodzaju Antigua w Gwatemali i się zawiedliśmy. Może nasze oczekiwania po Gwatemali były zbyt wysokie. Kolejnym minusem były te bilety za 50000d, dzięki którym można wejść do jednej świątyni, jednego domu i jednego muzeum. Na szczęście do niektórych miejsc nie potrzeba biletów. Jednak jak ktoś chce zwiedzić wszystko, musi kupić 4 bilety i wydać około 13\$. W Hoi An ogląda się tu głównie stare domy i świątynie, które są w chińskim stylu. Jest to dla nas miła odmiana po dziesiątkach buddyjskich watów. Jest nas dwójka, więc staramy się chodzić w inne miejsca a później dzielić się spostrzeżeniami/zdjęciami. Do niektórych miejsc wpuszczają nas w dwójkę z jednym biletem, widząc że się rozdzielamy. Miasto rzeczywiście ma swój klimat - niskie domy, wśród których czas jakby zatrzymuje się w miejscu (z wyjątkiem głośnego targu). Jest to także miasto krawców - można sobie wybrać kreacje z katalogu

a krawcowa uszyje ją w kilka godzin. Zwiedziliśmy większość miejsc zaznaczonych na mapie i możemy polecić Assembly Hall of Fujijan Chinese Congregation, Assembly Hall of Cantonese Chinese Congregation, Quan Cong Temple, Tran Family Chapel i darmowy :) widok na port na rzece. Wieczorem pojechaliśmy do Hue (4h) i kupiliśmy w biurze rejs po Perfumowanej Rzece za 1.5\$/os. (obiad w cenie).

01.09.2004 Hue-Hanoi

Wstajemy rano i idziemy do biura, skąd spodziewamy się autobusu, który zawiezie nas do portu. Okazuje się, że przystań jest tak blisko, że pani z biura prowadzi nas pieszo. Rejs ma trwać w sumie 8h, z przerwami na zwiedzanie świątyń i katakumb. Nie jesteśmy z tego zadowoleni, ale dotarcie do interesujących nas miejsc samemu byłoby trudniejsze i dużo droższe, choć znacznie szybsze. Już na początku rejsu łódka zamienia się w sklep, w którym można kupić książki, ubrania i inne rzeczy. Cena za rejs była tak mała, że trzeba gdzieś dorobić :) Tak samo jest z obiadem. Dostajemy fasolkę szparagową, omlet i ryż. Jak ktoś chce coś innego to jest całe menu, ale trzeba słono zapłacić (drożej niż za cały rejs). Jakby ktoś chciał zwiedzić wszystkie świątynie i katakumby to musi wydać 5000d+20000d+55000d, czyli 8\$. My zwiedzamy Thien Mu Pagoda - darmowa i bardzo ciekawa, szkoda tylko, że częściowo w remoncie. Na kolejnym postoju udajemy się do największych katakumb - Tomb of Tu Duc (55000d/os.). Jest to jakby małe miasto, otoczone murem. W środku jest jezioro, pałac, katakumby i kilka świątyń. Najciekawsze jest położenie całości nad jeziorem, wśród drzew, bo budynki nie są imponujące - widzieliśmy już wcześniej dużo lepsze. Do Tomb of Minh Mang wchodzę sam. Oprócz jeziora, mostków na wodzie i ogrodu też nie ma nic ciekawego. Jeżeli mielibyśmy wybrać, który dzień z naszej podróży był najmniej interesujący do Hue byłoby zdecydowanie najlepszym kandydatem. Może byliśmy zmęczeni rejsami, ale chyba chodzi głównie o to, że dużo nie zobaczyliśmy przez te około 7h. Wieczorem jedziemy do Hanoi, gdzie podróż ma trwać 15h. Na jednym z przystanków spotykamy kobietę, która handluje różnymi rzeczami. Gdy się dowiedziała, że jesteśmy z Polski chciała, żebyśmy zamienili jej polskie złotówki, które dostała od polskich turystów, na dongi. Nie chcieliśmy od niej monet, bo za ciężkie, ale 10zł w papierku jej wymieniliśmy. Ciekawe, czy dostała te pieniądze w prezencie czy ktoś był tak splekany, że wcisnął kobiecie polskie złotówki :) Zauważyliśmy też, że w Wietnamie jest cieplej niż w Tajlandii i Kambodży a od kilku dni nie spadł deszcz. Potwierdzają to słowa przewodnika LP, że w Wietnamie jest teraz pora sucha, inaczej niż u sąsiadów. Jadąc autobusem widać też dużo ludzi w wietnamskich stożkowych (trójkątnych) kapeluszach, co jest też symbolem Wietnamu. Można kupić taki kapelusz za jedyne 2000d, ale obawiamy się, że nie dojedziemy z nim do Polski.

02.09.2004 Hanoi

Do Hanoi jedziemy dużym autobusem i docieramy tam po 6:00. Jesteśmy trochę zdziwieni, bo spodziewaliśmy się, że będziemy o 10:00. Jedyne problem, że autobus wysadza nas na peryferiach miasta, tym razem nie podwożą nas pod hotele. Później okazuje się, że w mieście jest kilkadziesiąt biur Sinh Cafe, kilkanaście Kim Cafe a naszego TM Brother Cafe nie spotkaliśmy. Gdybyśmy zaczęli naszą podróż do Hanoi, nie trafilibyśmy na TM Brother, które wydaje się silne na południu kraju. W Hanoi ceny pokoi wahają się w granicach 10\$, ale udaje nam się znaleźć pokój za 5\$. Ogólnie północ jest droższa od południa, np. woda kosztuje 5000d (na południu 4000d) a bagietki na ulicy 2000d po ostrych targach (na południ 1000d). Szczególnie widać to w Hanoi, gdzie ludzie mają ceny inne dla turystów niż dla miejscowych. Po porannej toalecie jesteśmy gotowi do wyjścia na miasto. Zaczynamy od Mauzoleum Ho Chi Minha, które jest czynne tylko w niektóre dni i od 8:00 do 10:30. Okazuje się, że dzisiaj jest Dzień Niepodległości i dziesiątki tysięcy ludzi maszerują zobaczyć zmumifikowane zwłoki (jak Lenin) człowieka, który jest symbolem komunistycznego Wietnamu, pomimo tego, że umarł w roku 1969, sześć lat przed zakończeniem wojny między południowym a północnym Wietnamem. Wstęp miał być darmowy,

jednak zapłaciliśmy po 4000d. Może nawet lepiej, ponieważ weszliśmy innym wejściem niż Wietnamczycy, dzięki czemu znaleźliśmy się na początku kilometrowej (a może i dłuższej) kolejki. Oczywiście plecak jak i aparat musieliśmy zostawić w przechowalni bagażu. Musieliśmy także przejść przez bramki wykrywające metal a może i coś innego :) W kolejce wszyscy byli ustawieni parami. Po wejściu do klimatyzowanego budynku nie wolno rozmawiać, nie wolno mieć rąk w kieszeni. Po przejściu kilkudziesięciu schodów w takiej atmosferze, czuć, że coś wielkiego ma się zdarzyć. Gęsiego wchodzimy do pokoju, w którym na środku leży trumna. Żołnierze pilnują, żeby nikt się nie zatrzymywał oglądając niskiego dziadka, z długą białą brodą o chińskiej urodzie. Następnie wynajmujemy motor, aby nas podwiózł do pobliskiej Tran Quoc Pagoda (wielopiętrowa wieża, podobna do opisaney w przewodniku LP jako jedna z licznych pagód w Hanoi). Jest to bardzo interesująca, ładnie położona przy jeziorze świątynia buddyjska. Następnie udajemy się tym samym motorem do znacznie oddalonej Temple of Literature. Motocyklista chce nas zabrać do wskazanych przez niego ciekawych miejsc (pewnie chce więcej niż uzgodnione 15000d). Nie chcemy się zgodzić a motocyklista zaczyna coś kręcić i podwozi nas jedną przecnicę od Temple of Literature. Na szczęście wiemy gdzie jesteśmy i postanawiamy pozbyć się motocyklisty i dojść na miejsce na pieszo. Temple of Literature jest pierwszym miejscem podczas naszej podróży, gdzie możemy skorzystać ze zniżki dla studentów (ISIC). Płacimy po 2500d (zamiast 5000d). Temple of Literature kojarzy się z biblioteką, ale są to głównie ogrody, po których spacerują ludzie a w samej świątyni są tylko chińskie manuskrypty. Nam najciekawszą rzeczą wydał się ogromny gong, ukryty za świątynią. Na pieszo poszliśmy w stronę placu Lenina, na którym oczywiście stoi pomnik Lenina. Już dawno nie wiedzieliśmy radzieckich flag z sierpem i młotem. W Wietnamie te flagi są wszędzie (pewnie z powodu święta) a pewnie w Rosji można je spotkać tylko w muzeum. Blisko placu znajduje się Flag Tower, która jest jednym z symboli Hanoi. Na koniec zostawiliśmy sobie jezioro ze świątynią na wysepce. W Hanoi prawie nie widać turystów, ponieważ wszędzie są tysiące Wietnamczyków, którzy prawdopodobnie mają wolne z powodu dzisiejszego święta. Drugą ciekawostką w Hanoi są samochody bardzo podobne do jeżdżących w Polsce. Jest tu dużo Daewoo Lanosów a Daewoo Matizy jeżdżą na taksówkach. Bardzo śmiesznie wyglądała dwójka turystów, która cisnęła się ze swoimi wielkimi plecakami na tylnym siedzeniu malutkiego Matiza :)

03.09.2004 Hanoi-Cat Ba

Wczoraj kupiliśmy trzydniową (z dwoma noclegami) wycieczkę za 20\$/os. na wyspę Cat Ba w zatoce Halong Bay. Ceny były między 20-28\$, ale jak się później okazało, że wszyscy dostają podobne świadczenia. Ludzie śpią w innych hotelach, ale grupy zostają połączone podczas pływania łodzią i trekkingu. Przed biurem byliśmy o 7:15. Zawieziono nas dwoma motorami na przystanek autobusowy. Kierowcy nie było, bo poszedł na śniadanie i wszyscy musieli na niego czekać. Po 8:00 wyjechaliśmy w stronę Halong City, gdzie mieliśmy obiad a około 13:00 wypłynęliśmy łodzią na rejs po zatoce Halong. Podczas rejsu był przystanek na zwiedzanie grotty Thien Cung z jaskinią Dau Go. Było to w rodzaju Jaskini Niedźwiedziej, lecz dużo mniej zadbane. W środku było gorąco, podczas gdy w Polsce utrzymuje się temperaturę kilku stopni, ponieważ wyższa temperatura niszczy skały. W środku jaskinia podświetlona przez cały czas (co jest nie do pomyślenia w Polsce), czasami nawet jak choinka. Był to całkiem miły przerwany oglądaniem zielonych, porośniętych roślinnością skał wynurzających się prosto z wody w Halong Bay. Skały są ładne, ale po kilku godzinach rejsu (i kilkudziesięciu zdjęciach :) wydają się nudne. W drodze na Cat Ba był kolejny przystanek, na którym mieliśmy możliwość popłynięcia małą łódką (20000d/os.) do dwóch zatoczek otoczonych skałami, do których płynie się naturalnym tunelem w skale. Widoki były dużo ciekawsze niż oglądanie skał z daleka, więc opłacało się wydać pieniądze. Po 17:00 przyплыliśmy na Cat Ba, która okazuje się skalistą wyspą z trzema plażami, oddalonymi ponad 1km od centrum, w którym są prawie wszystkie hotele.

04.09.2004 Cat Ba National Park

Wstajemy wcześniej, bo o 7:30 mamy śniadanie a o 8:00 wyjazd na trekking do Cat Ba National Park. Czekamy na autobus w hotelowej restauracji do 9:20, ale zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić w Wietnamie. Kierowca jedzie jakby chciał odrobić opóźnienie a drogi są kręte. Całkiem bezsensownie, bo przed wejściem do parku narodowego spotykają się trzy autobusy. Ludzie z tych autobusów dzielą się na grupy, bo wybierają, czy chcą iść na krótki (3km) czy długi (12km) trekking. My decydujemy się na długi trekking, bo chcemy zobaczyć jak najwięcej w Cat Ba National Park. Jedyna grupa na długi trekking liczy około 10 osób i ma jednego przewodnika. Na początku droga jest ubita, później węższa, następnie betonowe schody przez dżungle. Po dwóch godzinach marszu dochodzimy pod górę, która jest głównym celem naszej wyprawy i z której ma być bardzo ładny widok na okolice. Podejście jest bardzo trudne, ponieważ wdrapujemy się po skałach. Zastanawiamy się jak przewodnik mógł pozwolić, żeby niektórzy szli na trekking w klapkach (w niektórych miejscach chodzili na boso, bo łatwiej). Widok z góry był naprawdę imponujący, lecz była to jedna z niewielu atrakcji. Zejście z góry i dojście do wioski Viet Hai na obiad zajęło nam kolejną godzinę. Obiad nie był rewelacyjny, ale można było się najeść. Podczas trekkingu wypiliśmy ponad 2 litry wody a w wiosce butelka wody kosztuje 10000d. Przed nami ponad godzinny spacer prostą betonową drogą do portu. Po drodze napotykamy niespodziankę - droga zatopiona (od dawna) i kilkaset metrów musimy iść w wodzie, która w najgłębszym miejscu jest aż po pas. Około godziny 16:00 docieramy do portu i płyniemy łodzią na drugą stronę Cat Ba, czyli do portu w centrum wyspy. Po drodze jest 20 min postój na pływanie przy małej, bezludnej plaży wśród skał. Wieczorem jemy kolację w hotelu (w cenie wycieczki) i idziemy wieczorem oglądać port. Kupujemy sobie sok z trzciny cukrowej (sugar cane, za 3000d), który jest całkiem dobry (i popularny wśród miejscowych). Sok jest wyciskany przy nas specjalną maszynką. Najciekawszymi rzeczami były dla nas las namorzynowy, widok ze szczytu góry i doświadczenia z przepławianiem się przez zalaną drogę. Jednak jeżeli ktoś nie lubi chodzić po górach to nie warto iść na trekking, zwłaszcza że komary ostro atakują. Pierwszy raz podczas tej podróży zostaliśmy mocno pogryzieni przez komary, przed którymi najlepszą obroną byłyby długie spodnie. Z perspektywy czasu wydaje nam się, że lepiej pojechać na jednodniową wycieczkę do Halong Bay i dać sobie spokój z Cat Ba. Zaoszczędzony czas można poświęcić na 3 lub 4 dniową wyprawę do wiosek w Sapa, przy chińskiej granicy. Jednak my tego już nie sprawdzimy, bo ważność naszej wizy wietnamskiej już się kończy, ale wybieramy się zobaczyć wioski w Laosie.

05.09.2004 Cat Ba-Hanoi-Vinh

Wstaliśmy jak zwykle wcześniej, bo o 7:30 mieliśmy śniadanie a o 8:00 wyjazd autobusem do portu. Popłynęliśmy z Cat Ba do Halong City a stamtąd autobusem do Hanoi. Program był ten sam co dwa dni temu, tylko że podróżowaliśmy w drugą stronę i nie zwiedzaliśmy jaskiń. Skały już nam spowszechniały, więc jedynie odpoczywamy na statku po wczorajszym trekkingu. Z całej podróży najciekawszy okazuje się przystanek między Halong City a Hanoi, podczas którego znajdujemy w sklepie czekoladę Goplany "Klasyczna Gorzka" za 20000d (dwa razy drożej niż u nas :) W Hanoi jesteśmy koło 17:00. Następnie zamierzamy pojechać autobusem do stolicy Laosu - Vientiane. Ma to być nasza najdłuższa trasa, nie w kilometrach, ale patrząc na czas jazdy. Na Thorn Tree (lista dyskusyjna Lonely Planet) ludzie ostrzegali, żeby samemu nie przekraczać granicy z Laosem, bo strasznie naciągają a nawet rabują w przygranicznych miejscowościach. Dlatego decydujemy się na bezpośredni autobus. Cena waha się między 12\$ a 35\$, zależnie od biura podróży, ale na zdjęciach jest ten sam autobus (ma jechać 14-20h). Kupiliśmy bilet za 14\$, bo kobieta w biurze wyglądała na godną zaufania. Powiedziała, że autobus musi jechać 18-20h, ale w przeciwieństwie do innych biur, nie musimy się na granicy przesiadać w inny autobus. Bilet kupiliśmy dwa dni wcześniej, razem z wycieczką na Cat Ba. Dzisiaj wieczorem o 19:30 wyjeżdżamy do Vientiane. Dostajemy super autobus z działającą klimatyzacją, dużo wolnych miejsc (można spać na kilku fotelach). Dają nam nawet gratis małe butelki wody. W takich warunkach można podróżować. Po kilku godzinach jazdy dojeżdżamy do Vinh, który okazuje się

miejszem przesiadek na autobusy do HCMC (przez Hue), Vientiane i Hanoi. Gdy inne autobusy odjeżdżają, my czekamy na autobus do Laosu. Dobrze, że są jacyś inni turyści, bo jesteśmy gdzieś na peryferiach o 2:00 w nocy. Po pewnym czasie pojawia się autobus bez klimatyzacji, załadowany nawet na dachu, gdzie też biorą nasze plecaki. Sytuacja przedstawia się jeszcze gorzej, gdy wsiadamy do środka. Cały tył autobusu wygląda jak spory magazyn a pod wszystkimi siedzeniami rozłożone jest w sumie kilkadziesiąt kartonów tworzących drugą podłogę. Problem jest taki, że oprócz tego, że odległość między siedzeniami jest niewielka to jeszcze nie ma miejsca na nogi, bo pod nogami stoją kartony. Niektórzy ludzie wolą siedzieć na kartonach w środku autobusu (w przejściu między siedzeniami). Podróż a szczególnie nocleg w tym autobusie nie zapowiada się rewelacyjnie. Wszystkie wycieczki w Wietnamie były dobrze zorganizowane, ale ten przejazd to wielkie oszustwo. Biura podróży widzą, że turysta wyjeżdżający z Wietnamu już do nich raczej nie wróci ze skargą, ale ich zachłanność pozostawia niemiłe wspomnienia z wyjazdu z Wietnamu. Pamiętamy, że tylko w jednym biurze proponowano nam dwa autobusy do Vientiane (zwykły za 13\$ i government bus za 18\$, który miało jechać 17h i nie miało być przesiadek). Gdybyśmy wiedzieli, że tak będzie wolelibyśmy dopłacić, jednak nie jesteśmy nawet pewni, czy taki autobus istnieje (trzeba by było sprawdzić na dworcu autobusowym w Hanoi a my nie byliśmy ani razu na dworcu autobusowym podczas naszego pobytu w Wietnamie).

06.09.2004 Vinh-Vientiane

Gdy słońce zaczyna wschodzić, docieramy na stację benzynową, na której spędzamy ponad 1h. Myślimy, że to z powodu zamkniętej granicy, albo kierowca musiał się przespać, bo autobus jechał aż z Danang. Ze stacji benzynowej jedziemy tylko kilkaset metrów, gdzie obsługa (kierowca wraz z kilkoma chłopakami, którzy są tragarzami w tym sklepie na kółkach - ładują i wypakowują bagaże) autobusu udaje się na śniadanie. Tubylcy na śniadanie jedzą zupę z mięsem albo danie z ryżem, czyli to samo co się je na obiad i kolację :) Około 9:00 przekraczamy granicę (1\$ lub 15000d opłaty wyjazdowej z Wietnamu). O 11:00 jest kolejny postój, tym razem wiemy, że kierowca musiał się przespać. Była to mniej więcej połowa trasy, którą jechał autobus, czyli Danang-Vientiane. Wszyscy turyści są źli, bo wiedzą, że oprócz tego, że oszukano nas na autobusie to jeszcze będziemy jechać znacznie dłużej. Większość miała obiecany przyjazd o 16:00, ale postój skończył się dokładnie o 14:00 a my jesteśmy tylko dwie godziny jazdy za granicą. Obsługa autobusu zapytana o której będziemy na miejscu, mówi że o 22:00, czyli po 26-27h jazdy. Po kilkunastu godzinach jazdy, turyści są zwątpieni, znudzeni, niewyspani, niektórzy trzymają nogi na suficie, leżą na współtowarzyszach. Nastąpiła pełna integracja między turystami a także z Wietnamczykami podróżującymi autobusem. Jeden z Wietnamczyków rozwiesił pod sufitem hamak, na którym spał, tuż nad głowami osób siedzących/leżących w przejściu między siedzeniami. Cała podróż autobusem była bardzo ciekawa, bo autobus nie za bardzo radził sobie z podjazdem po górę (kierowca jechał na pierwszym biegu), przy czym mocno dymił. Głównym problemem było to, że w Laos jest górzystym krajem i nasza trasa przebiegała głównie w górach. Bardzo ciekawe były krótkie postoje na sikanie. Na jednym z takich postoi kierowca wraz z obsługą autobusu, opuścili autobus. Zamiast odejść gdzieś w krzaki stanęli przy autobusie, odwrócili się do niego plecami i zaczęli sikać. Już się do tego przyzwyczailiśmy w Kambodży i Wietnamie, ale zdziwiła nas postawa kierowcy, który zaczął sikać na przednie prawe koło. Prawdopodobnie koło było nagrzane z powodu dużej ilości zjazdów i podjazdów a kierowca jako osoba uprzywilejowana miał pierwszeństwo w doprowadzaniu koła do zwykłej temperatury. Następną ciekawostką była zupa, zamówiona przez innych turystów na jednym z postoi. Gdy się okazało, że w zupie pływają jakieś oczy, turystom nagle przeszła ochota na jedzenie zupy :) Od 14:00 mieliśmy tylko jedyny większy postój na kolację i dojechaliśmy na zapowiedzianą 22:00 do Vientiane. Znaleźliśmy się kilka km od centrum, na parkingu firmy, której własnością jest autobus, służący do przewozu nie tylko osób ale i jeżdżący jednocześnie jako ciężarówka dostawcza. Do centrum dostajemy się dużym, wieloosobowym tuk-tukiem za 5000 kip/os. (1\$=10700 kip). Całe

miasto śpi, inaczej niż nas przyzwyczylił Wietnam, ale udaje nam się znaleźć hotel za 4\$ z współdzieloną łazienką (co nie jest problemem, bo hotel jest prawie pusty). Zasypiamy koło północy, co jest późną porą jak na ten wyjazd.

07.09.2004 Vientiane-Luang Prabang

Tyle czasu spaliśmy i nudziliśmy się wczoraj w autobusie, że sami budzimy się o 7:00. Już wczoraj zauważyliśmy, że Wietnam i Laos znacznie się różnią. Laos jest dużo biedniejszy, co widać po stanie dróg i domach przy drodze. Jest też mało zaludniony, co objawia się prawie pustymi drogami i szczególnie brakiem motocykli utrudniających jazdę w Wietnamie. Motocykle pojawiły się dopiero w Vientiane, które jak na stolicę jest bardzo małe, bo mieszka w nim tylko 150.000 ludzi. Zauważyliśmy także, że ludzie nie są tu tacy natarcywi jak w Kambodży czy Wietnamie, bo nie próbują czegoś sprzedać za wszelką cenę, co jest miłą odmianą. Wypożyczamy rowery za 0.5\$/os. i zwiedzamy miasto. Do południa zwiedziliśmy większość interesujących miejsc a od 12:00 zaczyna się godzinna sjesta. Dzisiaj widzieliśmy dużo mnichów, o których prawie zapomnieliśmy w Wietnamie. W Vientiane jest bardzo mało turystów, a większość których spotkaliśmy, przyjechała z nami autobusem. Skończył się też okres z biurami podróży, przez które wszystko było zaplanowane. Po tym co wyczytaliśmy w przewodniku LP i relacjach osób, które tam były, postanowiliśmy ominąć Vang Vieng, aby zyskać jeden dzień więcej na Tajlandię lub Malezję. Chcemy po południu jechać od razu do Luang Prabang. Dochodzimy do miejsca, gdzie według przewodnika jest dworzec autobusowy, ale okazuje się, że został przeniesiony (około 1 km dalej). Miało też być 7-8 autobusów dziennie, ale większość odjeżdża rano i musimy czekać od 13:30 na autobus o 16:00. Gdybyśmy znali rozkład autobusów, pojechalibyśmy w tym czasie do Parku Buddy (a zdjęcia innych turystów pokazują, że naprawdę warto), do którego autobusy odjeżdżają z centrum. Dowiedzieliśmy się też, że podróż ma trwać 11 h, zamiast 7-8 podanych w przewodniku LP. Dobrze, że wiemy to przed wyjazdem. Z braku zajęć zjedliśmy obiad i zrobiliśmy zakupy. Po 16:00 wyjechaliśmy w stronę Luang Prabang autobusem, który był cały obładowany różnymi towarami, znowu kartony przez środek autobusu a na dachu materace (autobus był przez to dwa razy wyższy, ale to nie problem, bo Laosie nie ma mostów :) Oczywiście klimatyzacji też nie było, widocznie takie autobusy to w Laosie standard.

08.09.2004 Luang Prabang-Luang Nam Tha

Przyjeżdżamy po 4:00 do Luang Prabang. Bierzemy tuk-tuka do centrum za 10000k. Nie potrzebujemy hotelu, bo nie zamierzamy zostać w tym mieście na noc a już powoli się rozjaśnia. Dogadujemy się z właścicielem jednego z hoteli, że za 10000k możemy wziąć prysznic. Oczywiście zostawiamy także plecaki w tym hotelu. Szukamy w przewodniku, gdzie można zobaczyć symbol Luang Prabang, czyli żebrzących mnichów. Nasze rozmyślenia przerywają sami mnisi, którzy przechodzą obok naszego hotelu. Razem ze wschodem słońca pojawiają się na ulicach setki mnichów, za którymi podążamy, próbując zrobić dobre zdjęcia. Mnisi przechodzą ulicami i zatrzymują się przy kobietach siedzących na ulicy, na matach. Kobiety wysypują garściami mnichom ryż do ich misek. Nigdzie nie było tak dużo mnichów jak w Luang Prabang. Mnisi znikają równie szybko jak się pojawili a my udajemy się zwiedzać buddyjskie świątynie, których jest tu 32 i które okazują się podobne do tych w Tajlandii i Kambodży. Różnią się jednak szczegółami np. nachylenie dachów jest podobne do chińskich świątyń (styl Luang Prabang) oraz po raz pierwszy widzimy mozaikę z kolorowych szkiełek na ścianach świątyni. Najładniejszy według nas w mieście jest Wat Xieng Thong (wstęp 10000k), chociaż w każdej świątyni można znaleźć coś niezwykłego. Pałac Królewski jest także bardzo ciekawy (wstęp 20000k), szkoda tylko, że nie można robić zdjęć. Podsumowując: miasto jest małe (16.000 mieszkańców), spokojne, ma swój klimat. Podczas naszego pobytu było mało turystów, za to wszędzie było widać mnichów, którzy stanowią tu chyba połowę mieszkańców :)

Po zwiedzeniu miasta chcemy pojechać na wodospad Kuang Si. W pobliżu są jeszcze jaskinie Pak Ou z posążkami Buddy, ale postanawiamy je pominąć i pojechać jedynym autobusem do Luang Nam Tha o 17:30. Wycieczka na wodospad Kuang Si kosztuje w biurze 48000k (trwa 13:00-16:00). Próbowaliśmy wynająć dużego tuk-tuka, żeby tam dojechać, ale najlepsza cena jaką nam zaproponowano to 5\$/os., na które się oczywiście nie zgodziliśmy i zwiedzaliśmy dalej świątynie. Miasto jest tak małe, że wszyscy wiedzą, gdzie chcemy jechać i po jakimś czasie podjeżdża do nas kierowca i proponuje, abyśmy pojechali z nim i z innymi turystami za 3\$. My byśmy się jeszcze stargowali, ale dla Holendrów i Szwedów ta cena jest zadawalająca. Na wodospad jedzie się około 1h. Wodospad jest tak ogromny (bardzo wysoki i całkiem szeroki), że drobne kropelki wody docierają kilkaset metrów od niego i trudno zrobić zdjęcie, bo aparat moknie. Dla tego widoku warto było przyjechać do Laosu. Dodatkową atrakcją jest możliwość wspinaczki na górę wodospadu i przejścia górą przez wodospad. Nurt jest bardzo silny, ale prowadzi nas kierowca-przewodnik. Na zwiedzanie wodospadu, obiad i dojazd schodzi nam około 5h.

Od 16:30 czekamy na autobus na dworcu. Miał wyjeżdżać o 17:30, ale jedzie z Vientiane i przyjechał o 19:00 a dopiero około 20:00 wyjechaliśmy w kierunku Luang Nam Tha. Zdążyliśmy się już do tego przyzwyczaić w Laosie. Nie polecamy podróży kolejną noc w autobusie po nieprzespanej nocy, ale my jedziemy. Autobus jest bez klimatyzacji, ale też bez towarów i tylko połowa miejsc zajętych. Udało nam się zająć tylne pięć siedzeń i dzięki temu całkiem dobrze się wyspać.

09.09.2004 Luang Nam Tha-Muang Sing-Luang Nam Tha

Do Luang Nam Tha dojeżdżamy całkiem szybko, bo spodziewaliśmy się być o 8:00 a dojechaliśmy o 6:00. Wynajmujemy pokój w Bus Station Guesthouse, gdzie zostawiamy plecaki i chcemy jechać o 8:00 pierwszym autobusem do Muang Sing. Okazuje się, że tu już nie ma autobusów, tylko pick-up'y. Jedziemy na pace, bo nie wiemy jak sobie załatwić, żeby jechać z przodu. Pick-up'y wyjeżdżają od 8:00, oficjalnie co półtora godziny, ale w rzeczywistości, jak się zapełnią. Gdy przyszliśmy na dworzec o 7:50 ten, który miał wyjeżdżać o 8:00 był już pełny. Dlatego pojechaliśmy następnym (15000d), wyjechał przed 9:00. Mniej więcej w połowie drogi jest przeszkoda. Z powodu mocnych opadów w nocy ziemia z pobliskiego zbocza osunęła się na drogę, która jest nieprzejezdna, jednak człowiek może przejść bez problemu. Ziemia jest tu bardzo miękka, dlatego w Wietnamie można było prymitywnymi narzędziami wybudować tunele Cu Chi. Mieszkańcy pobliskich wiosek usuwają ziemię i gałęzie z drogi. Widać, że nie robią tego pierwszy raz, jednak bez odpowiedniego sprzętu, na który się nie zanoszą, zajmie im to kilka godzin. Nikt tu nie ma telefonu komórkowego a nawet w Kambodży ludzie mieli telefony komórkowe. Naszym pomysłem jest przesiąść się do pick-up'a z drugiej strony blokady, ponieważ ludzie mogą przenieść swoje bagaże przez przeszkodę. Nikt z obecnych nie zna angielskiego, więc pozostaje nam jedynie czekać. Loatańczykom zajmuje ponad 1h, żeby wpaść na pomysł zamiany pojazdów. Podróż do Muang Sing miała trwać 2h, ale zajęła 4h. Tym razem przewodnik LP się nie pomylił, pisząc, że w porze deszczowej droga może być nieprzejezdna. Muang Sing okazuje się malutkim miasteczkiem, które jest handlowym centrum dla kilkudziesięciu okolicznych wiosek. Można spotkać tu kobiety z plemion Akha, Yao i Hmong, które przychodzą na targowisko. Nie ma tu żadnego czynnego biura podróży ani informacji turystycznej. Musimy radzić sobie sami. Postanawiamy wypożyczyć rowery (15000k/dzień lub 3000k/godzinę). Drogo, ale w okolicy nie ma żadnej konkurencji, co osobiście sprawdziliśmy. Gdy już mamy środek transportu, największym problemem okazuje się to, że nie wiemy gdzie jechać. W przewodniku LP powinna być mapa wiosek, albo chociaż nazwy wiosek, które polecają. Wioski są wszędzie, po prawej stronie, po lewej stronie ale problem jest taki, że nie wiemy w których wioskach ludzie chodzą w tradycyjnych strojach. W wypożyczalni rowerów sprzedają (5000k) mapę wiosek, ale bardzo nieczytelną, narysowaną odręcznie, niezbyt przydatną. Pani, która wypożyczyła nam rower, poleca nam wioski pod chińską granicą (2 km od Chin), gdzie jedzie się asfaltową drogą a po 8 km, przy znaku Adonai Guesthouse, skręca się w

prawo. Droga do Adonai Guesthouse jest lekko pod górę, a rowery mają za nisko siodełka (albo my jesteśmy za wysocy :), dlatego dojazd zajmuje nam około 1h. Zostawiamy tam rowery i na pieszo udajemy się do pobliskich wiosek Akha i Yao. W wiosce Akha nie ma nic ciekawego, bo ludzie chodzą ubrani zwyczajnie. Wiemy, że 45 min marszu dalej jest następna wioska (pewnie ciekawsza, bo spotykamy po drodze tradycyjnie ubrane kobiety z plemienia Akha), ale nie mamy czasu, bo musimy zdążyć na ostatni pick-up do Luang Nam Tha między około 16:00. Udajemy się więc do pobliskiej wioski Yao, w której kobiety chodzą tradycyjnie ubrane. Z domów, przy których przechodzimy, wybiegają kobiety które chcą nam sprzedać bransoletki i wisiorki. Kupujemy je głównie dlatego, żeby później mieć możliwość zrobienia tym kobietom zdjęcia. Trochę dalej, starsza kobieta zaprasza nas do swojego domu, w którym pokazuje nam różne towary. Nam dużo ciekawszy wydaje się sam dom, który w środku jest prawie zupełnie pusty. Podłoga to udeptana ziemia. Dom nie ma drzwi, ale ma samą futrynę (otwarte wejście) z przodu i tyłu. Bardzo interesująco prezentuje się widok, gdy stojąc przed domem widać jego wnętrze a przez dom widać podwórko z drugiej strony.

Wioski nie były rewelacyjne, bo ciekawsze kobiety widzieliśmy na targu i mijaliśmy jadąc rowerem. Dlatego wracając do Muang Sing, zastanawiamy się, czy pani z wypożyczalni rowerów chciała nas wysłać tak daleko, żeby dłużej nam zeszło i żebyśmy więcej zapłacili, bo wzięliśmy rowery na czas. Nie mamy czasu tego sprawdzić, bo za dużo czasu straciliśmy podczas blokady drogi i musimy zdążyć na ostatni pick-up powrotny. Jesteśmy w Muang Sing przed 16:00, jednak okazuje się, że pick-up minął nas, gdy szliśmy na przystanek, ponieważ odjeżdżał z innego miejsca niż wysiadaliśmy i tam się nie zatrzymał. Płacimy 30000k, żeby inny pick-up dogonił tamtego. Po kilku kilometrach udaje się go dogonić. Oczywiście musimy zapłacić po 15000k za przejazd do Luang Nam Tha, ale to i tak wyszło taniej niż płacić za nocleg jednocześnie w hotelu w Muang Sing i Luang Nam Tha. Wieczorem udajemy się do chińskiej restauracji. Niby jesteśmy w Laosie, ale większość hoteli (w tym nasz) na północy jest prowadzona przez Chińczyków i jest też dużo chińskich restauracji. Najciekawsze jest to, że menu w tej restauracji było tylko po angielsku i po chińsku. Jedzenie było bardzo podobne to tego, do którego przywykliśmy w Wietnamie i Laosie.

10.09.2004 Luang Nam Tha-Kampone-Huay Xai

Wstajemy wcześnie, bo chcemy być o 8:00 na przystanku i zająć miejsca w busie o 9:30 do Huoy Xai (granica z Tajlandią). Podróż ma trwać ponad 9h i mamy jechać drogą szutrową, bez asfaltu, tak jak z granicy Tajlandii do Siem Reap w Kambodży. Myśleliśmy, że tak długą drogę będziemy jechać czymś lepszym, ale okazuje się że jedziemy pick-up'em, w którym jeszcze musimy siedzieć z tyłu, bo przód jest zajęty (a jesteśmy 1.5h przed wyjazdem). Magda pilnuje naszych siedzeń a ja idę jeszcze zobaczyć poranny targ (morning market), który znajduje się naprzeciw dworca. Na targu są prawie sami sprzedający, ale udaje mi się spotkać kilka kobiet z plemienia Akha i zrobić im zdjęcia (za pieniądze, około 2000-3000k za zdjęcie). Akurat wczoraj nie udało nam się zrobić fajnych zdjęć kobietom z tego bardzo charakterystycznego plemienia.

Wyjeżdżamy zgodnie z planem (przejazd kosztuje 55000k/os.). Na szczęście się nie kurzy, bo jest teraz pora deszczowa, jednak tyłek zaczyna szybko boleć. Droga jest jeszcze gorsza niż w Kambodży, bo górską: węższa, mieści się tylko jeden samochód a czasami przejeżdżamy przez wielkie kałuże i boimy żeby nam się woda nie wlała do środka. Na szczęście ruch na drodze jest bardzo mały i nie ma problemu z wymijaniem innych samochodów. Teraz wiemy że tą trasę (przynajmniej w porze deszczowej) może pokonać tylko samochód z napędem na 4 koła, więc nie ma co liczyć na autobus. Ręce boją od trzymania się a trzymać się trzeba obiema rękami, żeby się nie uderzyć, albo co gorsza nie wypaść z samochodu. Pomimo tego kilka razy podskakujemy na wybojach tak, że uderzamy głową w dach. Zapowiada się zdecydowanie najgorsza, najbardziej męcząca podróż, chociaż kilka dni temu myśleliśmy, że gorzej nie może być. Siedzimy z tyłu w sześć osób, czyli dokładnie tyle ile się mieści. Jednak po przejechaniu kilkunastu kilometrów dosiadają się dwie kobiety. Na początku jedna spycha Japończyka, jedyne go turystę, który jedzie z

nami, na koniec siedzenia. Kiedy Japończyk już prawie wypadł z samochodu, postanowił stać z tyłu, trzymając się poręczy. Wtedy druga kobieta zajęła jego miejsce. Po kilkunastu minutach jazdy Japończyk nie mógł już jechać z tyłu i znalazł się w środku pick-up'a, między naszymi nogami. Tubylcy są przyzwyczajeni do takich warunków, próbują nawet spać.

Po drodze zatrzymujemy się na krótkie postoje. Na jednym z takich postojów widzimy autobus leżący w kilkudziesięciometrowej przepaści a przy nim rozbity namiot. Kto tam mieszka i kiedy by wypadek, możemy się tylko domyślać, ale po reakcjach ludzi poznajemy, że jest to jedna z atrakcji dla miejscowych. Około 14:00 dojeżdżamy do kolejnej przeszkody na drodze. Tym razem ciężarówka omijała obsuniętą ziemię a ziemia z drugiej strony, przy krawędzi drogi, obsunęła się pod ciężarem ciężarówki. Droga jest nieprzejezdna i musimy czekać na maszyny, które przyjadą dopiero koło 18:00 a po 21:00 droga ma zostać odblokowana. Dowiadujemy się o tym od jedyne go człowieka wśród osób, które przyjechały kilkoma samochodami, która mówi po angielsku. Jest to jednocześnie przedstawiciel tajlandzkiej firmy, do której należy ciężarówka. Firma ta wygrała przetarg na wybudowanie części drogi z Huay Xai do Luang Nam Tha, czyli drogi na której się znajdujemy. Drugą część wybudują Chińczycy. Według planu droga ma być ukończona za 31 miesięcy i ma być płatna 40\$/samochód (przejazd wtedy będzie pewnie znacznie droższy). Po pewnym czasie właściciele pick-up'a (kierowca i jego żona, która jedzie z nami chyba tylko po to, żeby zajmować siedzenie w szoferce) organizują obiad na liściu bananowca, zerwanego z pobliskiego drzewa. Każdy pasażer przynosi to co ma na obiad, czyli ryż, rybę, ogórki i nieznaną nam ostrą zieleninę. Następnie wszyscy jedzą wspólnie kucając lub stojąc wokół stołu z liścia bananowca. Po dwóch godzinach pojawiają się pick-up'y z drugiej strony blokady. Wyjechały mniej więcej tak samo jak my, tylko one przejechały 2/3 drogi a my dopiero 1/3. Z tego samego powodu zamiana pasażerów z pick-up'ów okazuje się niemożliwa, bo kierowcy nie dogadają się w sprawach finansowych.

Korzystając z wolnego czasu idziemy w stronę granicy, co gwarantuje, że zobaczymy nasz samochód, gdyby blokada została wcześniej usunięta. Po przejściu około 1km trafiamy do wioski Kampon. Znamy nazwę wioski, bo jest tam tabliczka, która informuje, że Unia Europejska sponsorowała tam budowę szkoły oraz dostarczenie wody pitnej. Jednak, patrząc na reakcje mieszkańców, mamy wrażenie, że żaden biały nigdy tam nie był, albo był bardzo dawno temu. W wiosce znajdują się drewniane domy na palach, zbudowane tak pewnie na wypadek powodzi. Prawie na każdym domu suszyła się kukurydza, której było setki a nawet tysiące. Blisko nas pojawia się coraz więcej dzieci, dla których jesteśmy chyba większą atrakcją niż one dla nas. Boją się podejść bliżej, ale robimy im zdjęcia aparatem cyfrowym i pokazujemy dzieciom. One zapominają o strachu, cieszą się, pokazują palcami i krzyczą różne imiona. Postanawiamy tu wrócić z cukierkami, które mamy w plecaku w samochodzie. Gdy opuszczamy wioskę, idzie za nami około 30 dzieci. Odprowadzają nas aż do głównej drogi, jest 16:00 godzina. Gdy idziemy w stronę samochodu, wyprzedzają nas nowe samochody z turystami. Jedna grupa wynajęła mini-busa za 150\$, bo bali się o swoje bezpieczeństwo i nie chcieli jechać na pacy. Mówili, że mieli jechać wczoraj, ale droga była nieprzejezdna, więc i tak się nam udało. Gdy wróciliśmy do wioski, dzieci już nie gromadziły się przy nas, przyglądały się z daleka. Mieliśmy wrażenie, że po naszym przyjeździe rodzice zabronili im kontaktu z obcymi oraz, że dużo dzieci jest innych niż poprzednim razem. Zaczęliśmy rozdawać cukierki i pokazywać jak się odwija papierek, na wszelki wypadek, gdyby nie wiedziały. Teraz otacza nas znowu cała gromadka dzieci. Niektóre chowają cukierki, żeby dostać następne. Cukierki się szybko kończą a ostatnie lecą w powietrze, aby było w miarę sprawiedliwie. Szkoda nam opuszczać wioskę, która bardziej nam się podobała, niż wioski w okolicach Muang Sing. Gdyby nie wypadek, nigdy byśmy tu nie trafili. Gdy się ściemnia jemy kolację, oczywiście ryż z dodatkami, który przynieśli mieszkańcy wioski z drugiej strony niż my byliśmy. Nie wiemy, czy zrobili to bezinteresownie, czy kierowca im zapłacił, ale my nic nie musieliśmy płacić. Po kolacji zaczyna padać deszcz, ale też wreszcie pojawiła się koparka i spychacz. Pod ciężarówką, która była przyczyną naszego postoju, został zrobiony podkop, dzięki

czemu ciężarówka odjechała sama. Około 23:00 ruszyliśmy w dalszą podróż. Daleko nie ujechaliśmy a tu następna przeszkoda. Tym razem pick-up zakopany w błocie a przed nim ogromna kałuża, przed którą się zatrzymał. Jechaliśmy jako trzeci samochód w kolumnie, ale nikt przed nami nie chce się podjąć wyciągnięcia tego samochodu. Nasz kierowca decyduje się podjąć to wyzwanie. Musi wjechać tyłem do ogromnej kałuży i stamtąd wyciągać zakopany samochód. Mamy wrażenie, że my tam się też zakopujemy. Przy pierwszej próbie linka się urywa a samochód ani drgnie. Na szczęście za drugim razem się udaje. Ruszamy w dalszą drogę. Wydawało się, że nie może być gorzej, ale jest noc i zaczynamy odczuwać zimny wiatr a później nawet deszcz. Jesteśmy straszliwie zmęczeni i powoli mokniemy, pomimo tego, że nad nami jest dach. Zасыpiamy ze zmęczenia, aby się obudzić po kilku sekundach, na kolejnej dziurze. Pod koniec podróży koło 5:00 rano, wysiadają ludzie z pięcioosobowej szoferki a my wsiadamy na ich miejsce. W środku jest ciepło i dużo mniej trzęsie.

11.09.2004 Huay Xai-Chiang Khong-Chiang Mai

O godzinie 6:00 jesteśmy w Huay Xai, po 21h naszej najgorsze podróży. Bierzemy tuk-tuka (2000k) do przejścia granicznego, które jest nad Mekongiem. Granica jest otwarta od 8:00, więc czekamy w pobliskiej restauracji jedząc pyszne śniadanie: jajko sadzone/omlet z gorącą bułką. Jajek nie jedliśmy chyba od miesiąca. W banku-budce na granicy nie chcą nam wymienić kipów na baty, bo jest wcześnie rano i jeszcze nie mają bathów. Należy pamiętać, że trzeba zapłacić 2500k za wyjazd z Laosu i 5000k za przepłynięcie łódką na drugą stronę rzeki. Dowiadujemy się też, że nie ma kantoru po drugiej stronie, więc jesteśmy zmuszeni wymienić pieniądze u cinkciarzy po bardzo złym kursie. Później okazało się, że jest bank około 1 km od granicy, ale nie sprawdzaliśmy czy wymieniają kipy. W innych miastach Tajlandii nie wymieniają. Łódź przez Mekong wypływa jak się napełni. Nie zdążyliśmy załatwić wizy Do Tajlandii w Polsce i kolejny raz liczymy na „visa on arrival”. Wizę dostajemy (1000 bahtów/os.), ale okazuje się, że potrzebne są dwa zdjęcia (na lotnisku w Bangkoku wymagali tylko jednego). Celnik wysyła mnie motorem, aby zrobić zdjęcia i ksero stron z paszportów z pieczętką wyjazdową z Laosu. Przez kilkanaście minut przebywam na terenie Tajlandii nielegalnie :) Okazało się, że drugie zdjęcie było potrzebne do księgi osób przekraczających granicę, w której oprócz danych osobowych są też zdjęcia. Celnik był bardzo miły i przede wszystkim znał angielski, co od razu poprawia nam humor, bo zapowiada miły pobyt w Tajlandii. Około 9:00 jedziemy pick-up'em na dworzec autobusowy (20B/os.). Okazuje się, że o 11:10 jest autobus do Chiang Mai za 164B. Jednak jedna pani radzi nam, żebyśmy pojechali lokalnym autobusem za 42B do Chiang Rai, skąd odchodzą bardzo często autobusy do Chiang Mai. Tak też robimy, musimy tylko uważać, żeby wsiąść do właściwego autobusu, bo są dwa rodzaje: jeden jedzie 2:20h a drugi 3:00h. Około 12:00 dojeżdżamy do Chiang Rai skąd o 12:30 mamy za 77B autobus do Chiang Mai. Udaje nam się dojechać szybciej i taniej, niż gdybyśmy jechali autobusem o 11:10 z granicy w Chiang Khong. Na dworcu autobusowym w Chiang Mai kupujemy bilety do Bangkoku na następny dzień na 19:30 (300B/os., stargowane z 403B). Okazuje się, że w hotelach sprzedają bilety do Bangkoku za 200B, ale mini-busem i jedzie się w dzień. Po 16:00 jedziemy współdzielonym pick-up'em (10B/os.) pod bramę (The Gate) starego miasta. Szybko znajdujemy hotel za 150B i od razu idziemy zwiedzać Wat Phra Singh, żeby zdążyć przed zmierzchem. Po drodze trafiamy na kilka ciekawych świątyń. Niektórych nawet nie ma na mapie w przewodniku LP. W Wat Phra Singh oglądamy dużego, złotego Buddę, który robi na nas wrażenie nawet po dziesiątkach świątyń, które widzieliśmy. Następnego dnia chcemy zwiedzić Wat Phra That Doi Suthep i wybrać się na przejażdżkę słoniami w Mae Sa Elephant Camp, ale przeglądając wycieczki w biurze turystycznym, decydujemy się pojechać zobaczyć kobiety-żyrafy (za 750B/os.). Ponieważ powrót jest zapowiedziany na 19:00 udaje nam się uzyskać zapewnienie, że zdążymy na autobus do Bangkoku a nawet zostaniemy podwiezieni po wycieczce na dworzec. Żałujemy tylko, że nie zwiedzimy Doi Suthep, bo na widokówkach widać, że warto tam pojechać. Wieczorem możemy wreszcie odpocząć po naszej ciężkiej podróży, podczas której przejechaliśmy

400km z Luang Nam Tha, ale zajęło nam to 30h. Najpierw idziemy na tradycyjną tajską pizzę :) za 145B a później na tradycyjny tajski masaż, który kosztuje tu tylko 100B/godzinę. Nasze wrażenia po masażu są bardzo pozytywne, jednak nie jest to takie uczucie, że czujemy się jak nowo narodzeni.

12.09.2004 Chiang Mai-wioska pod granicą z Birmą-Chiang Mai-Bangkok

O 7:30 wyjeżdżamy na całodniową wycieczkę, żeby zobaczyć kobiety-żyrafy (z plemienia Karen Longneck), które mieszkają aż pod granicą z Birmą, 250 km od Chiang Mai. Jazda w jedną stronę zajmuje ponad 3h. Na szczęście po drodze, mniej więcej co 1h, były przystanki. Na pierwszym postoju oglądaliśmy farmę orchidei i motyli. Kwiaty były bardzo ładne i fotogeniczne. Motyle były zamknięte w pomieszczeniu, żeby nie uciekły i same siadały na rękach. Na drugim postoju zwiedzaliśmy jaskinię Chiang Dao, w której znajdują się figurki Buddy. Na następnym postoju jedliśmy obiad, który był w cenie wycieczki, podany w stylu do którego już przywykliśmy, czyli na stole stawiane są półmiski i każdy nakłada sobie co i ile lubi. Najpierw podano zupę, później kurczaka z anansem, pomidorami i ogórkami. Następnie był półmisek ze smażonymi warzywami a później omlet. Jeżeli jedzenie na którymś z półmisków się kończyło, było od razu donoszone, co nie zdarzało się np. w Wietnamie. Jedzenie też było lepsze niż podczas naszych wcześniejszych wycieczek, nawet lepsze niż jakbyś sami poszli do restauracji. Następną różnicą między Tajlandią a Wietnamem, jest taka, że tu nam nie próbowali sprzedać dodatkowych napojów a nawet przynieśli wodę do popicia. W Tajlandii jesteśmy dopiero drugi dzień, ale zaważamy, że ceny w sklepach są tu niższe niż w Laosie czy Kambodży, gdzie dużo towarów jest importowanych z Tajlandii. Ludzie są tu bardziej przyjaźni, uśmiechnięci. Dużo osób zna język angielski, przez co my też czujemy się lepiej i pewniej. Tajlandia zapowiada się jako kraj, w którym odpoczniemy po dotychczasowej podróży.

Dojeżdżamy do celu naszej podróży, czyli wioski pod granicą z Birmą, w okolicy miasta Fang. Mieszka tu tylko 28 kobiet-żyraf z plemienia Karen Longneck. Więcej, bo ponad 200 kobiet-żyraf, żyje w wiosce Mae Hong Son, do której jednak jest dużo dalej. Okazuje się, że plemię Karen Longneck uciekło z Birmy przed prześladowaniami. Kobiety te słyną z mosiężnych obręczy noszonych na szyi. Dowiadujemy się, że w wieku 5 lat dziewczynki po raz pierwszy zakładają obręcz. Co 4 lata, maksymalnie 7 razy (zwykle 4 razy), dokładana jest im jedna obręcz, w celu wydłużenia szyi. Czym kobieta ma więcej obręczy tym uchodzi za ładniejszą w swoim plemienu. Obręcze mogą ważyć w sumie aż do 20 kg. Kobiety zdejmują obręcz tylko na kilka dni w roku, ponieważ rozciągnięte mięśnie, które tworzą wrażenie dłuższej szyi, mogłyby się skurczyć.

Z powodu małej liczności, w tej wiosce Karen Longneck połączyło się z długouchymi Karen Longear i plemieniem Akha. Ponieważ wioska jest chroniona przez państwo, płaci się wstęp (200B, w cenie wycieczki), który jest przeznaczony na mieszkańców wioski. Kobiety z plemienia Karen są bardzo interesujące, nawet jedna mówi po angielsku, jednak wioska jest zwykłym targiem, w którym można sobie kupić pamiątki (my kupiliśmy etui na komórkę i laleczki Karen Longneck). Jednak dzięki temu, że wszystkie kobiety są zgromadzone w jednym miejscu, można zrobić dużo ładnych zdjęć i oczywiście za darmo. Bardzo współczujemy tym kobietom, bo żyją jak zwierzęta zamknięte w klatce w zoo a turyści przyjeżdżają tylko robić im zdjęcia. Wszystko to jest bardzo skomercjalizowane i gdybyśmy nie widzieli prawdziwych wiosek w Laosie, nic byśmy nie wiedzieli o życiu tych ludzi. Ogólnie jednak wycieczka nam się podobała a może już nigdy nie będziemy mieć okazji spotkać kobiety-żyrafy. Podczas powrotu do Chiang Mai był tylko jeden krótki przystanek. Na dworcu autobusowym byliśmy dużo szybciej niż planowaliśmy, godzinę przed odjazdem autobusu. Autobus okazał się bardzo dobrej klasy: z klimatyzacją, telewizorem i stewardesą, która podawała napoje. Dostaliśmy też wafelki i jogurt pitny oraz koc do okrycia na noc. Jednak obok naszego autobusu stał autobus klasy VIP, w którym w jednym rzędzie było tylko trzy siedzenia, które rozkładały się prawie do ziemi i miały rozkładane podnóżki. Takiego autobusu jeszcze nigdzie nie widzieliśmy. Wyjechaliśmy zgodnie z planem. W autobusie leciał film

„Hellboy”, szkoda tylko, że dubbingowany. W takim autobusie podróż minęła całkiem przyjemnie, pomimo tego, że autobus po drodze napełnił się całkowicie, ale siedzenia były wygodne i może było się wyspać.

13.09.2004 Bangkok-Kanchanaburi

Mieliśmy być w Bangkoku o 5:00, ale w nocy padało i chyba dlatego dojechaliśmy o 6:00. Już od kilku dni, od wyjazdu z Wietnamu, nie czuliśmy dokuczliwego gorąca i nie pociliśmy się. Na dworcu autobusowym o 6:00 ludzi było jak w dzień a temperatura już była bardzo wysoka, chyba ponad 30 stopni. Miejskim autobusem numer 170 pojechaliśmy na terminal południowy, gdzie dojazd zajmuje ponad 1h. O 7:40 miał być autobus numer 81 do Kanchanaburi, ale się spóźnił i wyjechał (bilet 62B/os.) opóźniony o 40 min. Do Kanchanaburi dotarliśmy około 10:30. W przewodniku Pascala (tłumaczenie Lonely Planet) było napisane, że o 11:10 odjeżdża pociąg Kolei Śmierci (Death Railway), na który chcieliśmy zdążyć. Szukamy biura TAT (Turism Authority of Thailand), które jest darmową, rządową informacją turystyczną. TAT także sprzedaje bilety na pociąg. Znajdujemy biuro TAT, ale okazuje się, że dane z przewodnika Pascala są nieaktualne a pociąg odjechał o 10:20. Jakbyśmy wiedzieli, że ten pociąg wyjeżdża z Bangkoku o 7:50 to prawdopodobnie byśmy na niego zdążyli. W biurze TAT dostaliśmy mapę miasta i okolicy z wszystkimi atrakcjami turystycznymi. Pytaliśmy się też, czy jest tu miejsce, gdzie można jeździć na słońcach i dostaliśmy ulotkę farmy słońi oraz instrukcje jak tam dojechać. Chcemy tam dzisiaj pojechać, ale musimy znaleźć hotel i zostawić w nim nasze plecaki. Pojechaliśmy pick-up'em nad rzekę, gdzie znajduje się większość hoteli. Najtańszy był za 80B (tylko 2\$), ale bez łazienki i brzydki. My wybraliśmy River Guest House za 150B – z widokiem na rzekę Kwai, z łazienką i hamakiem przed domkiem. Kanchanaburi to tylko dwie ulice ciągnące się wzdłuż rzeki, ale rozciągnięte przez przynajmniej kilka kilometrów. Miasto jest bardzo spokojne i nastrojowe, nie jest tu tak gorąco jak w Bangkoku i rzeczywiście można tu spędzić kilka odpoczywając. Gdy się znudzi odpoczywanie można pojechać zobaczyć jedną z wielu okolicznych atrakcji. Postanawiamy pojechać do farmy słońi, czyli zrobić to, czego nie zrobiliśmy w Chiang Mai. Dochodzimy do głównej drogi, skąd autobusem numer 2 (współdzielony pick-up) dojeżdżamy za 2B/os. w okolice dworca autobusowego. Stamtąd wyjeżdża autobus numer 8203, jadący drogą numer 303, wzdłuż której jest większość atrakcji w okolicach Kanchanaburi. My jedziemy tylko 8km i po 14:00 wysiadamy przy wejściu na farmę słońi. Godzinna przejażdżka na słońiu kosztuje tu 550B, ale widzimy, że nie mają żadnych klientów. Mówimy, że w Chiang Mai taka sama przejażdżka kosztuje 400B/os. i udaje nam się uzyskać taką samą cenę. Udało nam się też wynegocjować, że będziemy jechali na osobnych słońiach. Widok z perspektywy grzbietu słońia, 3 metry nad ziemią, jest całkiem interesujący. Słoń idzie wolno, ale bardzo dużymi krokami i momentami trzeba się trzymać, żeby nie spaść. Na początku schodzimy na słońiach do jeziora, przy którym znajduje się farma, prawdopodobnie w celu zamoczenia słońi. Następnie przechodzimy przez las, którym mniejszy słoń wrywa jakieś krzaki i małe drzewa, w celu ich późniejszej konsumpcji. Później przechodzimy na słońiach przez drogę, którą przyjechaliśmy. My się nie boimy, niech się samochody boją :) Gdy słoń idzie pod górę, albo schodzi z górki, trzeba się trzymać, żeby nie spaść. Godzinna przejażdżka mija bardzo szybko a pod koniec zaczyna padać deszcz. Po zejściu ze słońi, Magda ma możliwość siedzenia na trąbie słońia a później karmienia go bananami (bez ściągania skórki :) Deszcz cały czas pada, ale przecież to Tajlandia, w której prawie codziennie wieczorem padało. Właściciel farmy, bardzo miły człowiek, podwozi nas do oddalonej 1 km Wat Tham Mungkornthong, która słynie z kilkudziesięciostopniowych schodów do świątyni na górze. Czekamy aż przestanie padać, aby zwiedzić świątynię. Następnie czekamy, wraz z jednym Tajem, na drodze numer 323 na autobus do Kanchanaburi. Zatrzymuje się samochód, który chce nas podwieźć do miasta. Ponieważ tubylec jedzie, my też się decydujemy. Okazuje się, że kierowca jest policjantem, prawie wcale nie mówi po angielsku i nic nie chce za to, że nas podwiózł do Kanchanaburi. Następnie wsiadamy do autobusu numer 2 i jedziemy (6B/os.) w okolice mostu na

rzece Kwai. Po przejściu około 1km, oczywiście w stronę rzeki Kwai, dochodzimy do żelaznego mostu. Kiedyś był zbudowany tylko z łuków, ale część mostu została zniszczona podczas II wojny światowej i odbudowana w formie trójkątów a różnicę widać gołym okiem. Wracamy na pieszo w stronę hotelu. Po drodze jemy obiadową kolację, Magda próbuje tajskiej specjalności: „chicken in coconut milk soup”. Odwiedzamy też biura turystyczne, w których największą atrakcją jest przejażdżka na słoniach, wodospad Erawan, Przełęcz Ognia Piekielnego (Hellfire Pass) i przejażdżka Koleją Śmierci (Death Railway). Wycieczki są w różnych kombinacjach i kosztują 400-600B, więc postanawiamy zwiedzać sami, zwłaszcza, że mamy z biura TAT rozkłady autobusów/pociągu, do wszystkich interesujących nas miejsc. Jednak zainteresowała nas możliwość zobaczenia i nawet dotknięcia żywych tygrysów w Tiger Temple (www.tigertemple.com). Nie wiemy jak tam dojechać, więc kupujemy tam wycieczkę za 100B/os., do czego należy doliczyć bilet wstępu za 150B/os. Wyjazd jest następnego dnia o 15:30, bo podobno to miejsce jest czynne tylko od 16:00 do 18:00, z powodu troski o tygrysy. Później idziemy do hotelu, w którym bujamy się w hamakach w blasku księżyca odbijającego się w rzece.

14.09.2004 Kanchanaburi-Phuket

Wstajemy o 4:50, bo o 6:02 wybieramy się pociągiem do Nam Tok. Pociąg jedzie tą trasą przez 2.5h (bilet 17B), dwa razy dłużej niż autobus. Okazuje, że jak na Kolej Śmierci to trasa jest prawie zupełnie prosta, mijamy tylko jeden most, gdzie po lewej stronie jest przepaść a po prawej są skały. Prawdziwe odcinki Kolei Śmierci, tam gdzie zginęły tysiące jeńców amerykańskich i australijskich, zaczyna się za Nam Tok. Jednak obecnie pociąg tam nie jeździ, bo podobno było to nieopłacalne. Najciekawszy jest więc dla nas sam pociąg, z twardymi, drewnianymi siedzeniami i ciekawie otwieranymi oknami oraz zwykli ludzie i uczniowie, którzy podróżowali z nami pociągiem. Około 8:30 dojeżdżamy do Nam Tok, skąd jedziemy współdzielonym pick-up'em do wodospadu Saiyoke Noi. Wodospad jest bardzo ładny (jeden z ładniejszych w okolicy), aż dziwne, że leży kilkadziesiąt metrów od drogi numer 323. Następnie łapiemy (trzeba stać na drodze i machać :) autobus numer 8203, który jedzie z Kanchanaburi a nas zabiera do Przełęcz Ognia Piekielnego (15B/os., trzeba poprosić o zatrzymanie się przy Hellfire Pass). Najpierw zwiedzamy całkiem ciekawe, darmowe muzeum. Później kilkusetmetrowy tunel, wydrążony w skale, przez który w latach 1943-45 przejeżdżały pociągi i przy budowie którego zginęło tysiące jeńców. Szkoda tylko, że nie ma już torów. Został tylko kilkumetrowy odcinek-pomnik. Około 11:00 wracamy na szosę numer 323 i zatrzymujemy autobus do Kanchanaburi (bilet 35B). Zastanawialiśmy się nad pojechaniem nad wodospad Erawan, ale z Kanchanaburi jedzie się tam 1.5h a my o 15:30 jedziemy oglądać tygrysy. Wycieczka kosztowała nas 72B/os., podczas gdy taka sama wycieczka z biura kosztowała 380B. Z drugiej strony za 550B mogliśmy zobaczyć w jeden dzień to samo i dodatkowo wodospad Erawan, na co nam zabrakło czasu, ale nie zależało nam aż tak bardzo, żeby zobaczyć ten wodospad. W Hellfire Pass byliśmy jedynymi turystami podróżującymi samodzielnie a było tam kilka mini-busów z turystami. Jednak my uważamy, że podróżowanie z przewodnikiem nie ma takiego klimatu jak podróżowanie samemu.

Po dotarciu do Kanchanaburi mamy dużo wolnego czasu, dlatego idziemy na pizzę (100B). Próbujemy też dotrzeć do ciekawej świątyni, którą wypatryliśmy oglądając widokówki, ale leży ona po drugiej stronie rzeki i jest tam dość daleko na pieszo. Gdy pytamy się ile kosztuje tam dojazd pick-up'em, najtańsza oferta jaką otrzymujemy to 200B (w dwie strony), więc rezygnujemy i udajemy się do hotelu. Mini-busik przyjeżdża trochę za wcześnie, bo o 15:15. Po zabraniu innych turystów, jedziemy 40 km do Tiger Temple, znowu drogą numer 323, gdzie już dzisiaj przejeżdżaliśmy autobusem. Gdybyśmy wiedzieli, gdzie to jest, moglibyśmy przyjechać tu sami, jednak moglibyśmy mieć problem z powrotem, bo ostatni autobus 8203 do Kanchanaburi przejeżdża tędy około godziny 17:00 a Tiger Temple leży jeszcze dwa kilometry od głównej drogi. Aby wejść do Tiger Temple musimy złożyć obowiązkowy datek, nie mniejszy niż 150B :, na projekt przystosowywania nowo urodzonych tygrysów do życia w naturze. Wchodzimy przez

bramę do rezerwatu i idziemy do skalistej dolinki, gdzie czekają na nas cztery tygrysy i dwa razy więcej osób z obsługi. Ludzie po kolei, w ciszy, podchodzą do tygrysów, zrobić z nimi zdjęcia. Tygrysy zajęte są jedzeniem lub gryzieniem buta. Zdjęcia z tygrysami robi obsługa, żeby tygrysy nie widziały turystów oko w oko. Jeden z tygrysów leży bardzo blisko ludzi, tarza się w piasku. Widocznie jest najmniej groźny a pilnuje go tylko jedna osoba. Zdjęcia wychodzą super a bez nich, nikt by nam nie uwierzył. Następnie idziemy do miejsca, gdzie znajduje się pięć tygrysów za kratami, tak jak w zoo. Dużo ciekawsze są dwa małe tygryski, które bawią się razem w jednej z klatek. Około 17:00 opuszczamy Tiger Temple a już o 17:50 jedziemy autobusem (bilet 62B) do Bangkoku. Dojeżdżamy tam o 20:10 i okazuje się, że ostatni autobus do Krabi odjechał 10 minut wcześniej a następny jest jutro rano. Decydujemy się pojechać autobusem o 21:30 do Phuket (381B), czyli blisko Krabi. Mieliliśmy szczęście, bo autobus był prawie pusty, więc mogliśmy spać na kilku siedzeniach i całkiem dobrze się wypaliliśmy. Znowu na noc dostaliśmy koce. Zastanawiamy się po co dawać ludziom koce jak lepiej by było wyłączyć klimatyzację.

15.09.2004 Phuket

Od rana pada deszcz i boimy się, że będziemy musieli jechać na wschodnie wybrzeże, które jest trochę brzydsze, ale w porze deszczowej zwykle jest tam lepsza pogoda. Do Phuket dojeżdżamy około południa. Według kobiety sprzedającej bilety, podróż miała trwać 12h, ale trwała dokładnie tyle, ile było napisane w przewodniku Pascala, czyli 14h. Z dworca autobusowego idziemy prosto do biura TAT, które tym razem nie jest tak blisko dworca. Biuro TATu jest kolejny raz bardzo pomocne, ponieważ otrzymujemy rozkład statków a nawet plan Krabi. Postanawiamy zostać w centrum, bo łatwiej będzie nam się później dostać do portu na statek. Chyba po raz pierwszy mamy sami problem ze znalezieniem hotelu i tym razem przydaje nam się przewodnik Pascala. Trafiamy do On On Hotel, w którym znajdujemy pokój za 200B. Po 14:00 siedzimy w autobusie, który zawozi nas na plażę Ao Karon (20B/os.). Nie mamy zbyt dużo czasu, bo ostatni autobus wraca o 16:30, jednak my chcemy tylko zobaczyć plażę. Plaża okazuje się bardzo ładna: biały piasek i ładna woda. Podczas tej wyprawy to na razie najładniejsza plaża jaką widzieliśmy. Gdy idziemy wzdłuż plaży w stronę Ao Kata, spada deszcz. Jest już po 16:00, czyli normalna pora opadów deszczu w Tajlandii. Deszcz pada dość krótko, dlatego udaje nam się jeszcze dojść do plaży Ao Kata, która nie jest już taka ładna jak Ao Karon. Wracamy ostatnim autobusem do centrum Phuket i jemy obiadokolację. Wieczorem przez przypadek znajdujemy supermarket, po raz pierwszy w Tajlandii i robimy większe zakupy.

16.09.2004 Phuket-Ko Phi Phi Don

Wczoraj kupiliśmy bilet na statek na Ko Phi Phi (250B/os.) i o 8:30 wypływamy. Statek jest luksusowy. Każdy pasażer dostaje ciasto oraz kawę, herbatę lub colę za darmo. O 10:05 dopływamy do wyspy. Najtańsze hotele, które proponują nam naganiacze, widząc nasze plecaki, są za 400B. Niby jest poza głównym sezonem, ale turystów jest tu bardzo dużo a niektóre hotele w centrum są pełne. W sezonie lepiej tu nie przyjeżdżać na dłużej z powodu tłoku i wysokich cen. Jednak my wcale nie zamierzamy zostać w centrum wyspy, tylko zamierzamy znaleźć hotel na plaży Long Beach, która ma być najładniejszą plażą na wyspie. Poza tym na Long Beach są także najtańsze noclegi, co jest chyba związane z oddaleniem od centrum. Możemy tam dopłynąć za 50B/os., ale decydujemy się na marsz z plecakami. Nie znając drogi, zajmuje nam to ponad 2h, ale później pokonujemy tą trasę w 45 min. Od opuszczenia statku widoki są oszałamiające: turkusowa woda, biały piasek, palmy i słońce. Chcieliśmy zatrzymać się w hotelu Viking, ale okazało się, że jest zamknięty poza sezonem. Może to i dla nas dobrze, bo znaleźliśmy dużo lepsze miejsce, na samym końcu Long Beach. Zdecydowaliśmy się na drewnianą chatkę (za 250B), bez łazienki, ale za to na plaży, kilka metrów od morza. Plaża jest naprawdę ładna i co ważne, prawie pusta – naliczyliśmy około 10 osób na kilkusetmetrowym odcinku. Już wiemy, że chcemy zostać tu dłużej. Idziemy skorzystać z okazji i wykąpać się w morzu. Jak zwykle po 16:00 niebo się chmurzy i

zaczyna padać. Jednak nie ma tego złego co by na dobre nie wyszło, bo przy zachmurzonym niebie wychodzą nam dużo ładniej zdjęcia z morzem. Zaczyna się też odpływ. Na naszej plaży woda cofa się o około 10m a z wody wynurzają się skały, których wcześniej nie było widać. Przed zmrokiem idziemy na obiadokolację do centrum. Po drodze mijamy plażę, przez którą przechodziliśmy przed południem, tylko tym razem woda cofnęła się miejscami nawet o 100m. Dzięki temu do centrum dochodzimy plażą, która niedawno była morzem. Wybór potraw w restauracjach jest bardzo duży, ale również ceny są wysokie, dlatego jemy pizzę, która kosztuje podobnie jak na łądzie (120B). Jeżeli chodzi o ceny to woda w sklepie kosztuje 10B (normalnie 5B, na Phuket 6B). Nawet niektóre towary w 7-eleven są 50-100% wyższe. Wracamy, gdy jest już ciemno (zachód słońca jest około 18:30) i część trasy musimy przejść lasem. Dobrze, że mamy aparat cyfrowy, który robi za latarkę, bo moglibyśmy mieć kłopoty z dotarciem do naszego domku.

17.09.2004 Ko Phi Phi Don

Budzi nas szum morza oraz osoby opróżniające śmietniki sprzed wszystkich domków o 6:00 rano. Do jedzenia mamy tylko chleb tostowy, ponieważ wczoraj nie znaleźliśmy w sklepach nic ciekawego do chleba. Dlatego idziemy na śniadanie do restauracji, gdzie zamawiamy zestawy śniadaniowe (za 25B): jajecznica i jajko sadzone z jedną grzanką. Następnie idziemy do centrum a stamtąd jest droga Viewpoint, gdzie dochodzimy po 30 min wspinaczce. Jest to widok jak z widokówki. Zdecydowanie najlepszy widok, jaki widzieliśmy podczas tych wakacji. Robimy tu kilkanaście zdjęć i wracamy do centrum zobaczyć plażę Ao Loh Dalum. Następnie robimy zakupy a także kupujemy bilety na rejs dookoła Ko Phi Phi Leh z różnymi innymi atrakcjami (400B/os. małą łódką i 600B/os. dużą). Po 13:00 jesteśmy spowrotem na Long Beach, gdzie spędzamy pół dnia na opalaniu się i pływaniu. W wodzie trzeba uważać na skamieniałe rafy koralowe, które nadają wodzie bardzo ładny wygląd, gdy się robi zdjęcia, ale przeszkadzają w kąpielu. Woda jest też bardzo płytka i trzeba odejść bardzo daleko od brzegu, żeby się zanurzyć. Słońce jest bardzo mocne i czuć jak opala. Działanie słońca widać szczególnie na niektórych nieuważnych turystach, którzy przecenili właściwości swojej skóry. Wieczorem idziemy do jednej z restauracji na naszej plaży, gdzie jemy spaghetti (50B) i zupę grzybową (50B).

18.09.2004 Ko Phi Phi Don-Ko Phi Phi Leh-Ko Phi Phi Don

Wstajemy rano przed 8:00, bo o 8:45 mamy być przed biurem turystycznym, spod którego rozpoczynamy rejs-wycieczkę. Ponieważ nie ma przyływu, dojście do centrum zajmuje nam tylko 30 min. Razem z przewodnikiem i innymi turystami udajemy się do portu, gdzie dostajemy płetwy i okulary a następnie wsiadamy na małą, 9 osobową łódkę, która okazuje się strasznie głośna. Na początku rejsu okrążamy Ko Phi Phi Leh (mniejsza z wysp) i w jednej z zatoczek nurkujemy z maską i płetwami (snorkeling). Woda ma tu turkusowy kolor i jest bardzo czysta. My pływamy oglądając rafy koralowe i pływające ryby. Później płyniemy do najslawniejszej plaży na Ko Phi Phi Leh – Maya Beach, gdzie były kręcone sceny do filmu „Niebiańska plaża” („The Beach”) z Leonardo Di Caprio. W następnej, bardzo ładnej zatoczce mamy postój na pływaniu. Dalej płyniemy na Bamboo Island, gdzie mamy obiad (ryż z mięsem i warzywami w styropianowym opakowaniu i coca-cola w puszcze). Na deser jest ananas, którego można jeść ile się chce. Wypływamy z wyspy i po raz drugi nurkujemy (snorkeling), tym razem przy wybrzeżu Ko Phi Phi Don (większej z wysp, gdzie mieszkamy). Następnie płyniemy do Monkey Bay, gdzie żyją na wolności dziesiątki małp. Małpy są przyzwyczajone do turystów, którzy karmią je bananami, bułkami a także resztkami ananasów. Dopływamy do portu, wracamy na Long Beach a wieczorem jemy kolację (spaghetti (50B) i zupa pomidorowa (50B)) w restauracji przy naszym hotelu. Dużo turystów ogląda filmy, które są puszczone wieczorami, chyba w co drugiej restauracji, także w naszej. Następnie bierzemy kocik i leżymy w ciemnościach na plaży, przy szumie morza. To już nasz ostatni dzień na Ko Phi Phi Don, która nam się bardzo podoba. Podoba nam się plaża, woda, mała ilość turystów i domek położony na plaży. Przeszkadza nam niski poziom wody i rafy

koralowe podczas odpływu, przez które nie można się kąpać po ciemku. W dzień przeszkadza hałas dziesiątek przepływających łódek (na jednej z nich sami dzisiaj byliśmy :) i śmieci na plaży oraz w wodzie, które nie są sprzątane.

19.09.2004 Ko Phi Phi Don-Krabi-Phang Nga-Krabi-Trang

Opuszczamy naszą plażę z plecakami o 8:00, bo o 9:00 wypływamy statkiem do Krabi (200B/os.). Rano jest jeszcze odpływ, więc przejście do centrum zajmuje nam tylko 20 min, podczas gdy wieczorem zajmuje około 1h. Mamy więc czas na zjedzenie śniadania, tym razem jemy sandwicha z parówką (30B) i jajkiem (30B). Robimy też ostatnie zdjęcia na plaży Ao Ton Sai, na której jest port i wypływamy z wyspy. Okazuje się, że w Krabi jest nowy port i musimy do centrum jechać pick-up'em z innymi turystami (30B/os.). W Krabi udajemy się do biura TAT, które tym razem nie okazuje się zbyt pomocne. Po 12:00 jedziemy już autobusem do Phang Nga (35B/os.), gdzie dojeżdżamy o 13:30. Wiemy z przewodnika Pascala, że o 14:00 rozpoczynają się tu popołudniowe rejsy po zatoce Ao Phang Nga. Kupujemy bilety na rejs (200B/os. + dodatkowo 200B/os. za wstęp na teren parku narodowego), w którym największymi atrakcjami są lasy namorzynowe, liczne skały i jaskinie na wodzie oraz James Bond Island, słynna z filmu „Człowiek ze złotym pistoletem”. Okazuje się, że mamy prywatną wycieczkę, ponieważ jesteśmy sami na łodzi. Łódka jest tego samego typu co na rejsie na Ko Phi Phi a silnik ma jeszcze głośniejszy i żalujemy, że nie mamy stoperów. Najpierw płyniemy koło lasu namorzynowego, później oglądamy skały, których kształty zmieniają się w zależności od kąta padania promieni słonecznych. Na James Bond Island opuszczamy łódkę i wchodzimy na teren parku narodowego. Spotykamy tu tłumy turystów, głównie Japończyków. Podczas rejsu powrotnego oglądamy Khao Kien (Skała Malarzy) – urwisko, na którym znajdują się malowidła pochodzące sprzed 3000-5000 lat. Przepływamy także obok muzułmańskiej wioski na wodzie Ko Panyi, w której znajduje się meczet wybudowany na skale. O 17:30 wracamy autobusem do Krabi (35B/os.), skąd chcemy jechać dalej na południe. Jesteśmy w Krabi po 19:00 i czekamy na autobus do Trang. Przed zwykłym autobusem, przyjeżdża autobus 1 klasy, do którego wsiadamy (bilet 90B/os.), bo nie chce nam się czekać a dzisiaj podróżowaliśmy wyłącznie autobusami 2 klasy. Autobus jest lepszej klasy, ale nam się nie podoba, bo jest za zimno przez klimatyzację i za głośno leci tajski film a później tajska muzyka, które przeszkadzają w spaniu. Spokojniej i taniej jeździ się 2 klasą. Około 21:30 dojeżdżamy do Trang, gdzie decydujemy się na marsz z plecakami do hotelu Yamawa Bed&Breakfast. Wiemy, że do tego miasta dociera już mało turystów, więc nie zgadzamy się zapłacić 250B za pokój i targujemy się do 200B. Nazwa hotelu jest związana z tym, że kiedyś śniadanie było w cenie noclegu, ale już tak nie jest.

20.09.2004 Trang-Narathiwat

Około 7:00 budzą nas odgłosy ulicy. Chcemy zwiedzić Szmaragdową Jaskinię (Emerald Cave) na wyspie Ko Mook, która znajduje się na wybrzeżu Trang. Udajemy się do biur podróży i informacji turystycznej, gdzie dowiadujemy się, że całodniowe zorganizowane wycieczki (600B z Trang, 500B z portu w Pak Meng) odbywają się tylko w sezonie, między październikiem a majem. Dowiadujemy się także, że dzisiaj morze jest spokojne, co oznacza, że możemy sami pojechać do Pak Meng i wynająć łódź na Ko Mook. Do Pak Meng dostajemy się współdzielonym mini-busem (50B, 45 minut jazdy), którym wyjeżdżamy z Trang o 10:30. Na miejscu dowiadujemy się, że 600B kosztuje popłynięcie na Ko Mook a 1000B razem z dopłynięciem do Szmaragdowej Jaskini. Nie ma gwarancji, że łódź wpłynie do środka jaskini, co zależy od fal a właściciele łódek nie wiedzą jakie one dzisiaj są. Wnioskujemy, że pewnie nie da się tam dzisiaj wpłynąć, więc szkoda czasu i pieniędzy. Po 14:00 jesteśmy z powrotem w Trang, gdzie udajemy się po nasze plecaki do hotelu. Podczas marszu na dworzec autobusowy, zatrzymujemy autobus do Hat Yai, wsiadając do niego w biegu. Po 2.5h, czyli około 17:00, docieramy do Hat Yai, skąd chcemy jechać do przygranicznego Narathiwat. Po wielkich męczarniach spowodowanych tym, że nikt tu nie mówi po angielsku, dowiadujemy się, że ostatni autobus odjechał o 17:00 i pozostają nam tylko droższe

mini-busy. Przez cały dzisiejszy dzień widzieliśmy tylko dwóch turystów. Już w Phuket zaczęły się pojawiać Muzułmanki, kobiety w chustach. Tutejsze Muzułmanki mają jednak kolorowe stroje a nie czarne. Jednak czym bliżej islamskiej Malezji tym więcej Muzułmanów. Wyjeżdżamy klimatyzowanym busikiem do Narathiwat (zwanym tu Nara) o 17:30. Bilet kosztuje 120B, jednak widząc naszą niechęć udaje nam się uzyskać cenę 100B/os., mniej niż płacą tubylcy :) Jedziemy drogą szybkiego ruchu, przedzieloną pasem zieleni i cały czas 2-3 pasy, więc kierowca jedzie cały czas ponad 100km/h. Może dobrze, że jechaliśmy mini-busem, bo i tak jechaliśmy 4h a duży autobus jedzie tą trasę godzinę dłużej. Drogi na południu są jeszcze lepsze niż na północy. Dopiero przed 22:00 jesteśmy w Narathiwat, bo po drodze zjechaliśmy do Saiburi, gdzie kierowca się zgubił i skąd nie potrafił wyjechać. Na szczęście mini-bus podwozi nas tam, gdzie chcemy nocować, czyli do Hotelu Narathiwat. W tym bardzo ładnie położonym nad rzeką hotelu, znajdujemy pokój za 130B.

21.09.2004 Narathiwat-Ban Taba-Kota Bahru-Kuala Besut-Pulau Perhentian Kecil

Po 8:00 udajemy się z plecakami w poszukiwaniu transportu do Taba, gdzie chcemy przekroczyć granicę z Malezją. Przewodnik Pascala staje się tu bezużyteczny, bo jest w nim tylko drobna wzmianka o przekraczaniu granicy w Ban Taba (Ban Taba oznacza port w Taba). Wiemy, od właściciela hotelu, że jeżdżą tam współdzielone pick-up'y za 20B i mini-busy za 30B. Miejsce odjazdu mini-busów znajdujemy bez problemu, ale pierwszy odjeżdża o 9:00. Postanawiamy poszukać pick-up'ów. Gdy pytamy jak się dostać do Taba, ludzie wskazują nam kierunek, jednak po kilkuset metrach tracimy nadzieję na odnalezienie przystanku. Już chcemy wracać, ale znajduje się jeden miły pan, który nawet mówi po angielsku i który prowadzi nas na przystanek. O 8:45 wyjeżdżamy w kierunku Taba. Pick-up często się zatrzymuje, niektórzy wysiadają, inni się dosiadają. Naszymi współpasażerami są same Muzułmanki i dzieci. Na granicy, która jest jednocześnie wielkim targiem, gdzie Malezyjczycy robią tanie zakupy, wydajemy wszystkie bahty. Jak ktoś chce wymienić bahty lub dolary na malezyjskie riggity, musi to zrobić po tajskiej stronie. Po anulowaniu tajskiej wizy, przepływamy statkiem (7B/os.) przez rzekę na stronę malezyjską. Jest już 10:30, ale po przestawieniu czasu, na obowiązujący w Malezji, jest już 11:30. Z przystanku autobusowego blisko granicy jedziemy autobusem do Kota Bahru za 2.20RM/os. (1\$=3.76 riggita), gdzie dojeżdżamy około 13:00. Tu czekamy na autobus do Kuala Besut o 14:00. Jest tu jeszcze większy wybór autobusów niż w Tajlandii, bo jest kilka firm oferujących przejazdy. Język malajski bazuje na alfabecie łańskim, więc przynajmniej łatwo nam czytać nazwy miejscowości i ulic. Były z tym problemy w Kambodży, Laosie i czasami w Tajlandii, jak nie było angielskich odpowiedników. Dodatkowo malajskie nazwy czyta się podobnie jak po polsku, (z wyjątkiem „j”, które czyta się „dź”). Gdy czekamy na autobus, podchodzi do nas taksówkarz, który mówi, że o 14:30 jest łódź (slow-boat) z Kuala Besut na Pulau Perhentian i autobusem nie zdążymy, bo jedzie 1:20h. Oczywiście proponuje nam, żebyśmy pojechali z nim za 20RM/taksówkę, to zdążymy. Nie chcemy mu wierzyć, więc jedziemy autobusem, który kosztuje 4.30RM/os. Autobus zatrzymuje się gdzie każdy chce, bardzo często, czasami nawet co 100m, więc jedziemy aż 1h 45 min. Na przystani okazuje się, że slow-boat (40RM za bilet w dwie strony) odpływa dwa razy dziennie o 10:00 i 15:00. Czekamy więc na speed-boat (60RM za bilet w dwie strony), która będzie o 16:40. Jest jeszcze ostatnia łódź o 17:40, ale mamy wrażenie, że rozkład zmienia się z dnia na dzień. Lepiej było zapłacić taksówkarzowi 20RM a zaoszczędzić 40RM na dwóch biletach na slow-boat. Dodatkowo byśmy byli szybciej. Przed 17:00 wypływamy motorówką, która płynie rzeczywiście bardzo szybko i 30 min później jesteśmy na mniejszej z dwóch wysp Pulau Perhentian, czyli na Pulau Perhentian Kecil. Wsiadamy na Long Beach, która ma być najładniejszą plażą oraz mają tu być najtańsze noclegi. Musimy jeszcze zapłacić 2 RM/os. za podpiływanie łódką od motorówki do brzegu. Woda jest super, plaża ładna, z palmami, w kształcie rogalika. Widoki psuje zbyt duża ilość łódek przy brzegu i kilkunastu turystów skupionych w jednym miejscu na plaży. Dziesiątki ludzi siedzą w restauracjach a hotele są pełne. Nie spodziewaliśmy się, że będzie tu większy tłok niż w

Tajlandii. Najtańsze hotele są na obu krańcach plaży. Decydujemy się na domek za 15RM, ale już prawie w lesie. Później okazuje się, że ubikacja i łazienka są obskurne a dodatkowo leci tylko słona woda. Wieczorem przeszkadza nam hałas transformatora a rano hałas pompy. Zastanawiamy się jak tam mogą mieszkać Niemcy, Holendrzy i inni.

22.09.2004 Pulau Perhentian Kecil

Nie chcemy mieszkać w takich warunkach (ubikacja i łazienka), dlatego z samego rana przeprowadzamy się na drugi koniec plaży, do Moonlight. Ceny za domki/pokoje są tu między 35-50RM, ale jest też jeden domek, najdalej od plaży, za 20RM, który bierzemy. W Moonlight łazienki mają muszle klozetowe, są wykafelkowane i leci słodka woda. W porównaniu do poprzedniego hotelu, pełen luksus. Plaża z tej strony jest też dużo mniej zatłoczona. Przy końcu plaży są skały, przy których, już przy metrowej głębokości, pływają dziesiątki kolorowych rybek. Tego jeszcze nigdzie nie widzieliśmy, jest super. Zielone rybki zaczepiają ludzi, odgryzając martwy naskórek ze stóp. Woda jest bardzo płytka, więc trzeba odejść daleko od brzegu, żeby się zanurzyć. A jak się popłynie dalej, można oglądać rafy koralowe. Woda jest turkusowa i tak czysta, że widać dno, które jest kilka dobrych metrów pod wodą. Jest dużo lepsza niż woda na Ko Phi Phi Don. Jest podobna do wody w której nurkowaliśmy i pływaliśmy w zatoczkach na Ko Phi Phi Leh. Tylko, że woda z Ko Phi Phi wygląda ładniej na zdjęciach z daleka, co jest spowodowane obecnością raf koralowych przy brzegu. Prawie cały dzień pływamy i opalamy się. Wieczorem na obiadokolację jemy spaghetti (7RM), makaron z kurczakiem (6RM) i pijemy świeże soki owocowe (4RM/szt.). Jedzenie jest droższe niż w Tajlandii, ale i tak tańsze niż nad polskim morzem. Na Long Beach nie ma sklepów i trzeba kupować wodę w restauracjach (3RM/butelkę). Dobrze, że zrobiliśmy zakupy na lądzie.

23.09.2004 Pulau Perhentian Kecil

Nie nastawiamy budzika, co się rzadko zdarzało. Magda została mocno pogryziona w nocy przez komary. Komary wleciały przez dziury i szpary w moskitierze. Rano jemy chleb tostowy z drzemem, który kupiliśmy jeszcze na lądzie. Okazuje się, że chleb jest częściowo pogryziony przez jakiś zwierzątko. Cały dzień schodzi nam na odpoczywaniu, czyli na opalaniu się, pływaniu w chłodnej wodzie, oglądaniu rybek i robieniu zdjęć (ponieważ plaża jest skierowana na wschód, najlepsze zdjęcia z wodą wychodzą w godzinach 13:00-15:00). Na słońcu jest bardzo ciężko wytrzymać, dlatego większość ludzi woli się opalać rano lub wieczorem. Za to temperatura wody jest idealna, nie za zimna, nie za ciepła, aż się nie chce wychodzić. Oglądamy też z ciekawością dwie Muzułmanki, które wchodzi w ubraniach do wody i siedzą w jednym miejscu. Rzeczywiście, w ubraniu ciężko się musi pływać :) Wieczorem idziemy na pizzę. Wszystkie restauracje mają podobne jedzenie i prawie te same ceny. Ponieważ pizza jest tylko w dwóch restauracjach, wybieramy ciekawie położoną Panoramę. Dostajemy tu, jak wszyscy klienci wieczorem, darmowe picie, ale dzisiaj pizzy nie podają, więc idziemy do konkurencji. W drugiej restauracji czekamy 45 minut na pizzę (11RM). Pizza jest dobra, ale mała, więc idziemy jeszcze na spaghetti (7RM) w naszym Moonlight. Wieczorem okazuje się, że mam spalone ramiona, bo się nie pokremowałem, podczas gdy poszedłem z aparatem polować na ładne zdjęcia.

24.09.2004 Pulau Perhentian Kecil

Tym razem idziemy na śniadanie do restauracji, gdzie zamawiamy zestawy kontynentalne (10RM/szt.), które składają się z jajecznicy, fasolki, grzanki i arbuza. Plan dnia jest taki sam jak wczoraj. Większość czasu spędzamy w wodzie a opalamy się tylko godzinkę, przy mniejszym słońcu, po 15:00. Wieczorem okazuje się, że przez to siedzenie w wodzie spaliliśmy sobie twarze. Oboje wyglądamy jak Indianie. Kolejny raz udajemy się do Panoramy. Tym razem zamawiamy Lasagne (10RM), która jest trochę za miękka, ale dobra oraz rekina (jako fish of choice :), który jest bardzo smaczny i duży. Oczywiście dostaliśmy darmowe picie, ale zamawiamy dodatkowo

shake'a i świeży sok (w sumie 7RM). Restauracja nam się bardzo podoba, ma całkiem dobre ceny, jak na tą wyspę a dodatkowo można tu wypożyczyć lub wymienić książki.

25.09.2004 Pulau Perhentian Kecil-Kota Bahru-Kuala Lumpur

Z samego rana idziemy przez las do Coral Bay (15 min na pieszo od hotelu Mohsin), które leży po drugiej stronie wyspy. Według przewodnika jest to druga plaża pod względem popularności po Long Beach. Plaża jest mała, ale palmy są bliżej wody, przez co można zrobić ładne zdjęcia. Okazuje się, że na tej plaży jest kilka sklepów. Wracamy na Long Beach i czekamy na speed-boat o 12:00 (mamy bilety na dowolny dzień na 8:00, 12:00 lub 16:00). Płyniemy łódką, która dowozi turystów z plaży do motorówek (2RM/os.). Fast-boat nie chce nas zabrać, bo wraca na dużą wyspę, bo chyba ktoś coś zapomniał. Musimy wsiąść do slow-boat, z której zaraz ma nas zabrać speed-boat. Okazuje się, że nic takiego się nie zdarza i płyniemy wolną łódką. Teraz wiemy, że mogliśmy kupić bilet w jedną stronę i wypłynąć stąd dowolną łódką, które kursują co 1:00-1:30h. Slow-boat to duża łódź, którą płyniemy do Kuala Besut 1:30h, czyli trzy razy dłużej niż speed-boat. Na brzegu idziemy do biura, w którym kupiliśmy bilety i oddają nam po 10RM/os. Na łódce spotkaliśmy małżeństwo z Holandii – Walthera i Sylwię. Powiedzieli, że jadą przez pół roku zwiedzać Tajlandię, Kambodżę, Wietnam i Laos, czyli znane nam tereny ;) Jedziemy z nimi taksówką (20 RM/przejazd) do Kota Bahru. Oni wynajmują pokój w hotelu, gdzie zostawiamy plecaki i wspólnie idziemy na miasto. Dopiero o 21:00 mamy autobus do Kuala Lumpur. Z Holendrami spędzamy całe popołudnie, głównie na rozmowie. Oni kupują od nas przewodniki Lonely Planet po Kambodży, Wietnamie i Laosie. Robią to chyba głównie po to, żeby podziękować za nasze opowieści i rady dotyczące zwiedzania. Nie przywieźliśmy z Polski przewodnika po Malezji, bo i tak mieliśmy cztery przewodniki. Postanowiliśmy, że kupimy go w Tajlandii, albo Malezji. Nowy kosztuje tu 99 RM, czyli taniej niż w Polsce. Mogliśmy też kupić używany na Pulau Perhentian za 66 RM, ale stwierdziliśmy że poradzimy sobie bez przewodnika. O 21:00 wyjeżdżamy autobusem firmy Transnasiona do Kuala Lumpur (26.10 RM/os.).

26.09.2004 Kuala Lumpur

Dojeżdżamy do Kuala Lumpur około 5:00. Do Chinatown, w którym są najtańsze hotele, można dojechać metrem (zwanym tu LTR), które jeździ od 6:00, ale i tak nie wiemy gdzie jest stacja. Dowiadujemy się, że taksówka do Chinatown powinna kosztować 5-7RM, ale my płacimy 10RM. Tanie hotele dla plecakowiczów (backpackers) okazują się pełne, co zdarza nam się pierwszy raz. W jednym z hoteli proponują nam, żebyśmy poczekali do 9:00 a na pewno coś się zwolni. Tak też się staje i bierzemy pokój za 22.5R z wliczoną 10% zniżką na studencką legitymację ISIC. Gdyby nie ubezpieczenie, nie opłacało by się kupować ISIC-a. Po zostawieniu plecaków w hotelu, idziemy pieszo do Petronas Twin Towers, które były do końca 2003 roku najwyższym budynkiem na świecie. Teraz najwyższym budynkiem na świecie jest Taipei 101 na Tajwanie (504m wysokości). Jesteśmy tam po 11:00, jednak okazuje się że bilety, które są darmowe, ale jest ich tylko 1000 dziennie, skończyły się. Obsługa radzi nam próbować następnego dnia o 8:30. Okazuje się jednak, że dzisiaj mamy szczęście, bo ktoś zwrócił bilety i możemy wjechać na Skybridge. Petronas Twin Towers (czyli bliźniacze wieże) ma 452m (88 pięter) wysokości a my wjeżdżamy na 170m (41 piętro), gdzie jest Skybridge, czyli most między dwoma wieżami. Widać stąd całe miasto a 30 piętrowe wieżowce, których jest tu bardzo dużo, wydają się niskie. Konstrukcja budynków jest taka, że wieże i most lekko się ruszają. Szczyt odchyła się podobno nawet do 2 metrów. Jesteśmy w kolejnym miejscu, gdzie był kręcony film o Jamesie Bondzie :) Po zjechaniu windą na dół można zagrać w różne gry dotyczące Twin Towers. Jedną z atrakcji jest maszyna mierząca wzrost osoby i wyświetlająca ile razy Twin Towers są wyższe od tej osoby. Następnie udajemy się do Menara KL, które jest się zamknięte w niedziele. Następnego dnia okazuje się, że to tylko jedno z kilku wejść na wieże było zamknięte. Następnie idziemy na stację metra i przejeżdżamy jedną stacją, głównie po to, żeby zobaczyć jak wygląda tu metro i dowiedzieć się ile kosztuje. Wsiadamy na stacji

Masjid Jamek, której nazwa wzięła się od sąsiadującego meczetu. Idziemy do meczetu, w którym musimy mieć długie spodnie i zakryte ramiona. Oczywiście nie jesteśmy odpowiednio ubrani, ale przy wejściu można wypożyczyć odpowiednie stroje, po czym wyglądamy jak prawdziwi Arabowie. Meczet jest ciekawy, bo jest podzielony na część zewnętrzną (dla mężczyzn) i wewnętrzną (dla kobiet, gdzie nie można wchodzić). Mężczyźni leżą na posadzce, niektórzy śpią, widocznie modlą się chrapaniem :) Nie wiemy co robią kobiety w środku. Po wyjściu z meczetu przechodzimy na drugą stronę rzeki, gdzie znajduje się Merdeka Square i Sultan Abdul Samad Building (dawna siedziba administracji brytyjskiej). Następnie udajemy się na Central Market, jemy pizzę w Shakey's Pizza (32RM za dużą pizzę, ale doliczyli 4RM za obsługę i podatki). Wieczorem idziemy na ulicę-targ: Petaling Street, gdzie można kupić filmy, ubrania, perfumy, zegarki, wszystko tanie podróby znanych firm. Ogólnie całe Kuala Lumpur można zwiedzić na pieszo w jeden dzień. Postanawiamy nie jechać do Melaki, więc mamy jeszcze jeden dzień w Kuala Lumpur. Stolica Malezji jest miastem wielonarodowym, w którym obok siebie żyją Malaje, Chińczycy, Hindusi, Arabowie i inni. Dużo byśmy stracili, gdybyśmy nie przyjechali do Malezji. Można uznać, że Tajlandia, Kambodża, Laos i Wietnam są do siebie podobni, patrząc na wygląd mieszkających tam ludzi i wyznawaną religię. Malezja jest zupełnie inna, bo Malaje są bardziej podobni do Aborygenów niż Azjatów i są Muzułmanami. Malaje nawet lepiej pokazują swoją wiarę niż Arabowie, ponieważ nie piją i nie palą, oczywiście z wyjątkami. Alkohol można kupić tylko w sklepach i restauracjach prowadzonych przez Chińczyków, ale jest tu bardzo drogi. Dodatkowo wszyscy Malaje, których spotkaliśmy mówili płynnie po angielsku.

27.09.2004 Kuala Lumpur

Śpimy do 10:30. Jemy śniadanie w naszym hotelu (4.50RM/zestaw). Idziemy do Menara KL (wstęp 15RM), która jest czwartą pod względem wysokości najwyższą wieżą telewizyjną na świecie (421m wysokości). Ponieważ wieża stoi na 90m górze, może wydawać się wyższa niż Petronas Twin Towers. Wjeżdżamy na wieżę, gdzie z 276m można podziwiać panoramę miasta. Każdy turysta dostaje przewodnika w formie odtwarzacza MP3, który opowiada o mieście oraz budynkach które widzimy. Widok jest lepszy niż z Twin Towers. Wydaje się także, że jesteśmy na wysokości prawie równej szczytowi Twin Towers (bo jesteśmy na wysokości $90+276=366$ m). Jest to odpowiednik około 72 piętra, więc większość wieżowców, które mają po 30 pięter, wygląda z góry jak małe domki. Jednak jak się zwiedza miasto, te same budynki, zasłaniają często pole widzenia. Z Menara KL idziemy do dzielnicy Golden Triangle, gdzie znajdują się dziesiątki różnych domów handlowych (plaza) i sklepów. Następnie wracamy do Chinatown i zwiedzamy chińską świątynię oraz hinduską Sri Maha Mariamman, które są blisko naszego hotelu, ale wcześniej nie udało nam się do nich trafić. Hinduska świątynia jest podobna do tej, którą widzieliśmy w HCMC w Wietnamie, jednak ma bardzo piękną fasadę przed świątynią. Następnie idziemy do prawdziwej chińskiej herbaciarni, gdzie młody Chińczyk pokazuje nam jak parzyć herbatę (wszystko tylko 4.50 RM). Herbatę pijemy z małych naparstków a Chińczyk pije z nami. Trzeba mieć cierpliwość, ponieważ każde parzenie trwa trochę czasu a herbatę pijemy w małych ilościach za to kilka dobrych kolejek. Później Chińczyk zostawia nas samych, żebyśmy sami spróbowali zaparzyć herbatę, którą parzymy w sumie kilkunastokrotnie i jeszcze jest herbatą, ale już nie tak mocną. Następnie idziemy zjeść obiad. Decydujemy się na shawermę (w Polsce shaorma) w arabskiej restauracji (4 RM), która jest bardzo dobra. Po wieczór zaczyna padać, ale my realizujemy, to na co wczoraj zabrakło sił, czyli chcemy zrobić zdjęcia Twin Towers jak się ściemnia. Jedziemy metrem na stację KLCC i znajdujemy lepsze miejsce, niż poprzedniego dnia, od strony ogrodu za KLCC. KLCC jest to wielkie centrum handlowe, znajdujące się pod Twin Towers. Jest tam 7 pięter i setki sklepów a wybór większy niż w Warszawie. Ludzie jest tu bardzo dużo, ale co ciekawe, głównie miejscowych. Wieczorem idziemy jeszcze na Petaling Street zakupić pamiątkowe podkoszulki z Kuala Lumpur (6 RM/szt., rozmiar XL). Lepsze koszulki kosztują 35 RM, ale sprzedawcy sami schodzą do 15 RM, niczym zaczęliśmy się targować :)

28.09.2004 Kuala Lumpur-Singapore-Bangkok

Nadszedł nasz ostatni dzień w Azji. O 8:30 mamy autobus do Singapuru (25 RM/os.). Na dworcu autobusowym okazuje się, że autobus, na którym mamy bilet jedzie tylko do JB (Johor Bahru), czyli do granicy. Po interwencji w kasie, dostajemy nowy numer autobusu (a dokładnie numer jego rejestracji). Jest już po 8:30 a autobusu nie ma. Okazuje się, że stoi za dworcem. Wsiadają do niego miejscowi przychodzący z ulicy, płacą też 25 RM. Żeby nie mieć kłopotów, lepiej było dopłacić te 1-3 RM i pojechać ze znaną firmą (Konsortium Bus Ekspres lub Transnasional). Autobus nie jest zły, bo wydaje nam się, że to jest stary autobus typu VIP (24 siedzenia, tylko 3 w rzędzie i dużo miejsca). W kasie powiedziano nam, że podróż do Singapuru ma trwać 5h, ale po 5h jesteśmy w Johor Bahru. Tam zaczynają się kolejne problemy. Za mało osób jedzie do Singapuru i każą nam się przesiadać do lokalnego autobusu. Dostajemy bilety za 2.80 S\$ (dolar singapurski, 1\$=1.70 S\$) i musimy radzić sobie sami. Jest wśród nas mieszkaniec Singapuru, który mówi, że spotkało go takie coś pierwszy raz i próbuje pomóc wszystkim podróżującym będąc naszym przewodnikiem. Na granicy, po stronie malajskiej, podchodzą do nas dziewczyny, które przeprowadzają z nami krótką ankietę. Rząd Malezji jest zainteresowany tym, co robiliśmy w Malezji i co można poprawić. Za wypełnienie ankiety dostaliśmy długopisy z logo Malezji, pełna kultura :) Przejeżdżamy przez morze i jesteśmy po stronie singapurskiej, gdzie dostajemy darmową wizę (pieczętkę). Przekraczanie granicy idzie nam dość sprawnie. Około 14:00 jedziemy do centrum Singapuru, gdzie wysadza nas autobus. Mamy mapę turystyczną Singapuru, więc powinniśmy sobie poradzić. Z plecakami zwiedzamy Goddess of Mercy Temple (chińska świątynia), Sri Krishnan (hinduska świątynia), Chijmes (kościół przerobiony na restaurację), katedrę św. Andrzeja i Esplanade Theatres on the Bay. Większość ciekawszych rzeczy w Singapurze widzieliśmy a reszta była dla nas zbyt oddalona. W Clifford Pier jemy obiad w hinduskim barze, który miał być tani (nie było cennika), ale kosztował 12 S\$. Singapur jest bardzo drogi, więc może rzeczywiście to było tanio. Następnie jedziemy metrem na Chiangi Airport. Trzeba sobie zostawić około 3 S\$/os. na metro, bo 1 S\$ kosztuje depozyt na bilet, który jest później zwracany. Około 19:00 jesteśmy na lotnisku, z którego wylatujemy do Bangkoku o 22:10. Do Bangkoku przylatujemy po około 2h. Większość miejsc była w samolocie wolna, ale tu dosiadają się ludzie. Jednak jest jeszcze sporo wolnych miejsc i co sprytniejsi (my też :) śpią na dwóch siedzeniach.

29.09.2004 Bangkok-Istanbul-Warszawa

Całkiem dobrze się wyspaliśmy w samolocie, co rzadko się zdarza. W Istambule jesteśmy o 6:45 tutejszego czasu (w Singapurze jest 5h później) i czekamy tam na samolot do Warszawy. Nie jest tu już tak ciepło jak w Singapurze, bo tylko 25 stopni. Na lotnisku spotykamy pierwszych Polaków od miesiąca :) Do Polski leci już dużo Polaków i Turków, ale czego się nie spodziewaliśmy, także dużo Rosjan. Po 2.5h lotu jesteśmy w Warszawie, jest tu 12:25 (w Singapurze jest 6h później). Wsiadamy ubrani w długie spodnie i kurtki, co nie było złym pomysłem, bo u nas jest poniżej 20 stopni, co dla nas jest teraz bardzo niską temperaturą.